



ERCKMANN-CHATRIAN

ERCKMANN CHATRIAN

BITWA NARODÓW
HISTORIA REKRUTA

z 1813 roku

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Własność Dobrowska Zofia

TOM PIERWSZY

Mr. 25

BIESIADA LITERACKA



99 882 / 1-2 klocek

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



F U W 0 3 6 8 7 0 8

15,-

342 559

7/242/2012 p

W drukarni Synów St. Niemiry, plac Warecki 4.

K-82/49/99882

I

Ci, którzy własnymi oczami nie widzieli sławy cesarza Napoleona — w latach 1810, 1811 i 1812, nigdy nie pojmą, do jakiego stopnia potęgi może wznieść się człowiek.

Kiedy przejeżdżał Szampanię, Lotaryngię lub Alzację, ludzie, zajęci żniwem lub winobraniami, rzucaли wszystko i biegli na spotkanie jego; byli tacy, co zdążali o ośm lub dziesięć mil; kobiety, dzieci, starcy klękali na drodze i wznosząc ręce, wołali:

— Niech żyje cesarz! Niech żyje cesarz!

Zdawało się, że to Bóg, że przez niego żyje świat cały i że wszystko skończyłoby się, gdyby on umarł.

Byli wprawdzie pewni republikanie, co kiwali głową na to i między dwoma haustami pozwalali sobie mówić, że Napoleon może upaść; ale ci uchodzili za szaleńców. Zdawało się to niepodobieństwem i nigdy nawet nie przypuszczano nic podobnego.

Co do mnie, od 1804 roku byłem w terminie u starego zegarmistrza, Melchiora Guldena, w Phalsburgu. Zdawałem się być słabowity i kulałem trochę; matka moja przeto chciała, żebym się wyuczył rzemiosła mniej utrudzającego, niż praca w wiosce naszej; w Dagsbergu bowiem żyją tylko drwale, węglarze i sankarze. Pan Gulden lubił mię bardzo. Mieszkaliśmy na pierwszym piętrze wielkiego domu, stojącego na rogu, naprzeciw oberży Czerwonego Byka, koło bramy Francyi.

Tamto widzieć można było książąt, posłów, jenerałów, jednych konno, drugich w karocach, innych na brykach, wygalowanych, z kitkami, futrami i orderami różnych krajów. Wielkim traktem przebiegały sztafety, kuryery, konwoje z prochem, kulami, jaszczyki, kawalerya i piechota! Jakie czasy! Jaki ruch!

W przeciągu pięciu, czy sześciu lat, oberżysta Jerzy zrobił majątek; mnóstwo miał łąk, sadów, domów i pieniędzy. Wszyscy ci ludzie bowiem, przybywając z Niemiec, Szwajcaryi, Rosyi, Polski lub skądinąd, niewiele się troszczyli o trochę więcej lub mniej złota, które garściami sypali po drogach; wszystko to byli panowie, którzy chlubil się niejako z tego, że nic nie oszczędzali.

Od rana do wieczora, a nawet w nocy, stół był zastawiony pod Czerwonym Bykiem. Wzdłuż wysokich okien dolnej sali, ciągnęły się wielkie, białe obrusy, błyszczące od srebra, zastawione zwierzyną, rybą i innemi rzadkiemi potrawami; dokoła stołów

tych podróżni zasiadali jeden obok drugiego. Na wielkiem, tylnem podwórzu, słyhać było tylko rżenie koni, krzyki pocztalionów, głośne śmiechy służących, turkot powozów, przybywających lub odjeżdżających, pod sklepieniami wysokich bram. Ach! nigdy już hotel Czerwonego Byka nie będzie miał takiego powodzenia!

Widywano tam także ludzi, pochodzących z samego miasta, — ludzi, którzy niegdyś zbierali suche drzewo w lesie, lub koński nawóz po drogach. Bijąc się po rozmaitych krajach, jeden na tysiąc dobijali się stopni komendantów, pułkowników, jenerałów.

Stary pan Melchior, w czarnej, jedwabnej czapeczce, nasuniętej na wielkie, kosmate uszy, z opadniętymi powiekami, z nosem, uwięzionym w rogowe okulary, z zaciśniętymi usty, od czasu do czasu kładł na warstacie lupę swą i rylec, i spoglądał ku oberży, szczególnie wówczas, kiedy donośne klaskanie pocztalionów w ciężkich butach, małej kurtce i koponej peruce, spadającej na szyję, rozlegało się echem wśród wałów, zwiastując przybycie nowej jakiejś figury. Uważnie wówczas przypatrywał się i wtedy słyszałem, jak wykrzykiwał:

— Patrzenie! syn Jakuba, co pokrywał dachy; ten znowu starej szwaczki Maryi-Anny; tamten bednarza Frantza-Sépela! Do czego doszedł!... Został pułkownikiem, a w dodatku baronem Cesarstwa. Czemuż nie pójdzie do swego ojca, który mieszka tam, przy ulicy Kapucynów?

Ale kiedy ujrzali ich idących w tę stronę i witających się na prawo i lewo z tymi, którzy ich poznawali, twarz jego mieniła się; ocierał oczy wielką swą kraciatą chustką, szepcząc:

— Oto będzie szczęśliwa stara Aneta! To co innego, to co innego! Ten nie jest dumny, to uczciwy człowiek; żeby tylko kula nie zabrała go prędko!

Jedni jak gdyby wstydzili się poznać gniazdo swoje; inni dumnie przechodzili miasto, udając się do siostry lub kuzynki. O tych ostatnich wszyscy mówili, jak gdyby cały Phalsburg nosił ich szlify i krzyże; tamtymi wszyscy pogardzali tyleż, a nawet może więcej niż wówczas, kiedy zamiatali ulice.

Co miesiąc prawie odśpiewywano *Te Deum* za jakieś nowe zwycięstwo i działo arsenału dawało dwadzieścia jeden strzałów, od których serce drżało. Przez cały tydzień potem, we wszystkich rodzinach panował niepokój, biedne stare kobiety szczególnie oczekiwały listów. Całe miasto wiedziało o tem, kiedy list jaki przyszedł: — Taka to otrzymała wiadomość od Jakuba i Klaudyusza! — i wszyscy biegli do niej, aby się dowiedzieć, czy nie było w piśmie nic o ich Józefie albo Janie Baptyście. Nie mówię już o awansach, ani o aktach zejścia; w awanse wszyscy wierzyli, trzebać przecie, żeby ktoś zastąpił umarłych; ale co do aktów zejścia, rodzice oczekiwali ich płacząc, bo nie przychodziły one zaraz, czasami nawet nie przychodziły wcale i biedni starzy mieli wciąż nadzieję, myśląc:

— Może chłopiec nasz jest w niewoli... Kiedy pokój nastanie, to i on wróci... Iluż wróciło takich, których miano za umarłych!

Ale pokój nie nastawał; jedna wojna kończyła się, druga zaczynała... Brakło nam zawsze czegoś, to ze strony Rosyi, to od Hiszpanii, to skądinąd jeszcze; nigdy cesarzowi nie było dosyć.

Często, kiedy pułki przechodziły przez miasto, — w długich surdutach, podgiętych na biodrach, z tornistrami na plecach, w wysokich kamaszach, sięgających kolan i z karabinami, które dowolnie niesiono, posuwistym idąc krokiem, czasem okryte błotem, czasem białe od kurzu — często ojciec Melchior, popatrzawszy na te defilujące szeregi, pytał mnie zamyślony:

— Powiedz, Józefie, jak myślisz, ilu ich tak widzieliśmy przechodzących od r. 1804?

— Och! nie wiem, panie Gulden — mówiłem — przynajmniej cztery lub pięć tysięcy.

— Tak... przynajmniej! — odpowiadał. — A iluż ich widziałeś wracających?

Domyślając się, co chciał powiedzieć przez to, odpowiedziałem:

— Może wracają na Moguncyę, albo też inną drogą jaką. Nie może być inaczej.

Ale on kiwał głową i mówił:

— Ci, których nie widziałeś wracających, poginęli, jak zginą ich jeszcze setki i tysiące, jeżeli Bóg nie zlituje się nad nami, bo cesarz wojnę tylko

lubi! Więcej krwi przelał już on, starając się o korony dla swoich braci, aniżeli nasza wielka rewolucja, walcząc o prawa człowieka.

Braliśmy się znowu do pracy; uwagi pana Gulden dawały mi wiele do myślenia.

Kulałem wprawdzie na lewą nogę, ale tylu innych ułomnych wzięto do wojska...

Myśli te wciąż snuły mi się po głowie i dłużej zastanawiając się nad tem, martwiłem się mocno. Wydawało mi się to strasznie nie tylko dlatego, że nie lubiłem wojny, ale i dlatego, że chciałem posłubić Katarzynę z Inatre-Vents.

Wychowaliśmy się razem. Nie było weselszej, zwawszej dziewczyny. Blondynka, z pięknymi niebieskimi oczyma i zębami białymi, jak mleko. Miała około ośmnastu lat. Ja miałem dziewiętnaście i ciotka Margrédel zdawała się być bardzo rada, kiedy zjawiałem się u niej co niedzielę na śniadanie i obiad. Wówczas z Katarzyną szliśmy po za dom, do sadu; jedno i to samo jedliśmy jabłko, jedną i tą samą gruszkę. Byliśmy najszczęśliwsi w świecie.

Ja to prowadziłem Katarzynę na Sumę i Nieszpory; w czasie zabawy nie puszczała mojej ręki i nie chciała tańczyć z innymi chłopcami wioski. Wszyscy wiedzieli o tem, że mieliśmy się kiedyś pobrać; ale wszystkoby się skończyło, gdyby mię wzięto do wojska. Żałowałem, że nie jestem jeszcze mocniej kulawym. W tych czasach pobrano najprzód chłopców, później żonatych, później bezdzietnych, mimo woli więc myślałem sobie:

— Dlaczegoż kulawi mają być lepsi od żonatych? Czyżby nie mogli mnie zrobić kawalerystą?...

Na samą tę myśl ogarniał mnie wielki smutek.

W 1812 r., na początku wojny z Rosyanami, przestraszony mój wzmógł się. Od miesiąca lutego do końca maja, codziennie widzieliśmy przeciągające pułki za pułkami: dragoni, kirasyery, karabiniery, huzary, ułani rozmaitej barwy, artylerya, jaszczyki, ambulanse, wozy, żywność — wszystko to płynęło wciąż, jak rzeka, której nigdy końca nie widać.

Pamiętam także, że pochód ten rozpoczęli grenadyery, którzy prowadzili wozy, ciągnięte przez woły. Woły te, użyte w miejsce koni, miały służyć później jako żywność, gdyby się wyczerpały zapasy. Wszyscy mówili:

— Jaki doskonały pomysł! Kiedy grenadyery nie będą mogli karmić wołów, woły będą żywiły grenadyerów.

Na nieszczęście, ci, którzy tak mówili, nie wiedzieli o tem, że woły nie mogą zrobić więcej niż siedm lub ośm mil dziennie i że na tydzień pochodu potrzebują przynajmniej dzień jeden wypoczynku; biedne te zwierzęta miały już kopyta zniszczone, z pyska ich ślina płynęła, ślepie wychodziły im ze łbów, łopatki sterczały z boków — słowem, pozostała z nich tylko skóra i kości. Przez trzy tygodnie wlokły się tak, poranione bagnietami. Mięso staniało, bo zabijano wiele z tych wołów, ale mało

kto chciał je jeść, bo mięso było niezdrowe. Nie przeszły nawet dwudziestu mil po za Ren.

Potem widzieliśmy już tylko migające lance, szable i kaski. Wszystko to wkraczało bramą Francji, przeciągało przez plac Broni i wielkim traktem wychodziło przez bramę Niemiec.

Nakoniec 10 maja tegoż roku 1812, bardzo rano, działa arsenału oznajmiły przybycie pana. Spałem jeszcze, kiedy padł pierwszy wystrzał, od którego zatrzęsły się moje małe okienka, niby bęben i prawie jednocześnie pan Gulden, trzymając świecę zapaloną w rękę, otworzył drzwi moje, mówiąc:

— Wstawaj... otóż i on!

Otworzyliśmy okno.

Pod bramą Francji ujrzałem wśród ciemności setkę dragonów, z których kilku trzymało pochodnie; przejechali ze strasznym hukiem i łoskotem; światła ich, niby płomień pożaru, muskały fasady domów, a ze wszystkich okien rozlegały się okrzyki bez końca:

— Niech żyje cesarz! Niech żyje cesarz!

Patrzyłem na pojazd, aż tu jeden z koni potknął się o słup rzeźnika Kleina, do którego przywiązywano woły: dragon padł, jak długi, z nogami rozstawionymi, szyszak jego potoczył się do rynsztoka. Prawie w tejże chwili wysunęła się głowa biała, o twarzy szerokiej, z kosmykiem włosów na czole.

Był to Napoleon.

Trzymał rękę podniesioną, jak gdyby do wzięcia szczypty tabaki i opryskliwie rzekł słów kilka. Oficer, który jechał na koniu koło drzwiczek, pochylił się, by mu odpowiedzieć. Cesarz zażył tabaki i powóz skręcił na rogu, podczas gdy krzyki wzmagaly się i armata grzmiała.

Oto wszystko, co ujrzałem.

Cesarz nie zatrzymał się w Phalsburgu; ostatnie strzały padały z dział, kiedy on był już na drodze do Sarane. Potem wróciła cisza. Strażnicy podnieśli most u bramy Francji i stary zegarmistrz rzekł do mnie:

— Widziałeś go?

— Tak, panie Gulden.

— Otóż wiedz, że człowiek ten trzyma w rękę swem życie nas wszystkich; dmuchnąby tylko, a byłoby po nas. Błogosławmy niebo, że nie jest złym, bo inaczej świat ujrzałby rzeczy straszne, jak za czasów dzikich królów i Turków.

Zdawał się być mocno zamyślony; po chwili dodał:

— Możesz się położyć; właśnie trzecia wybiła.

Wrócił do swego pokoju, a ja położyłem się z musu.

Wielka cisza, jaka zapanowała na dworze, wydała mi się nadzwyczajną po tym całym hałasie i aż do rana śniłem wciąż o cesarzu. Myślałem także o dragonie i chciałbym wiedzieć, czy umarł. Naza-

jutrz dowiedzieliśmy się, że odniesiono go do szpitala i że wróci do zdrowia.

Od dnia tego aż do końca września, śpiewano często w kościele *Te Deum* i za każdym nowem zwycięstwem padało dwadzieścia jeden strzałów działowych. Zdarzało się to prawie zawsze rano. Pan Gulden wykrzykiwał wówczas:

— He, Józefie, jeszcze jedno zwycięstwo! Pięćdziesiąt tysięcy ludzi poległych, dwadzieścia pięć sztandarów, sto dział! Wszystko dobrze idzie... wszystko dobrze idzie. Teraz pozostaje tylko nowy zrobić pobór, żeby zastąpić tych, co umarli!

Otwierał drzwi moje i widziałem go siwego, łysiego, jak z obnażoną szyją i w koszuli, mył twarz swoją w miednicy.

— Czy sądzisz, panie Gulden—zapytałem z niepokojem — że wezmą też kulawych?

— Nie, nie—odpowiedział z dobrocią—nie lękaj się, moje dziecko; rzeczywiście nie mógłbyś służyć. Urządźmy to jakoś. Pracuj tylko dobrze i nie troszcz się o nic więcej.

Widział mój niepokój i to mu sprawiało przykrość. Nigdy nie spotkał lepszego człowieka. Potem ubierał się i szedł nakręcać zegary u pana komendanta, u pana burmistrza i u innych znakomych osób. Ja zostawałem w domu.

Pan Gulden wracał dopiero po *Te Deum*. Zdejmował wielki swój orzechowy surdut, perukę kładł napowrót do pudełka i znowu naciągał swą czapkę jedwabną na uszy, mówiąc:

— Armia jest w Wilnie, albo w Smoleńsku, dowiedziałem się o tem u komendanta. Dałby P. g, żebyśmy ten raz jeszcze byli górą i żeby pokój zawarto. Im prędzej to nastąpi, tem lepiej, bo wojna to rzecz straszna.

Ja także myślałem sobie, że jeśli pokój nastąpi, to nie trzeba będzie dla armii tylu ludzi i będę mógł ożenić się z Katarzyną. Można sobie wyobrazić, jak gorąco pragnąłem sławy dla cesarza.

II.

Dnia 15 września 1812 roku dowiedziano się o naszym wielkiem zwycięztwie w Rosyi. Ogólna radość zapanowała i wszyscy wołali:

— Teraz będziemy mieli pokój... teraz wojna się skończyła!

Byli wprawdzie nicponie, co utrzymywali, że pozostały jeszcze Chiny do zdobycia; podobne istoty trafiają się często na utrapienie ludzi.

W tydzień potem wiedziano, że stanęliśmy w Moskwie, największem i najbogatszem mieście Rosyi; wyobrażaliśmy sobie, jakie łupy dostaną się nam i sądziliśmy, że to zmniejszy kontrybucye. Ale wkrótce rozeszła się pogłoska, że Rosyanie podpalili stolicę swoją i że chcąc uniknąć głodowej śmierci, trzeba będzie cofnąć się do Polski. O tem tylko mówiono w oberżach, w piwiarniach, na targu zbożowym, wszędzie; przy każdym spotkaniu, powtarzano sobie:

— A co... a co... źle idzie... rozpoczął się odwrót!.

Bladość pokryła wszystkie twarze; przed pocztą setki chłopów czekały od rana do wieczora; ale listy nie przychodziły. Ja niewielką zwracałem uwagę na to wszystko, tyle już widziałem! A zresztą krążyła mi po głowie myśl, która mi radowała serce i wszystko w pięknych przedstawiała kolorach.

Trzeba wiedzieć, że od pięciu miesięcy myślałem o wspaniałym podarunku, jaki zamierzałem ofiarować Katarzynie w dzień jej imienin, przypadających 18 grudnia. Między zegarkami, znajdującymi się na wystawie pana Guldena, był jeden maleńki, bardzo ładny, ze srebrną kopertą, porysowaną w małe kółka i błyszcząca, jak gwiazda. Pod szkłem mosiężna obrączka opasywała cyferblat, a na tym ostatnim był obrazek, przedstawiający dwoje kochanków, jak gdyby wyznających sobie miłość, chłopiec bowiem podawał dziewczynie wielki bukiet róż, ta zaś, skromnie spuściwszy oczy, wyciągnęła do niego rękę.

Kiedym pierwszy raz ujrzał ten zegarek, powiedziałem sobie:

— Nie puścisz go stąd; będzie on dla Katarzyny. Chociażbyś miał pracować codziennie do północy, musisz go mieć.

Od godziny siódmej pan Gulden pozwalał mi pracować na mój własny rachunek. Mielśmy stare zegarki do oczyszczania, do nastawiania, do naregulowania. Kosztowało to wiele pracy i pan Gulden słuszną mi dawał zapłatę za swoją robotę. Ale zegareczek kosztował trzydziści pięć franków. Można



sobie wyobrazić, ile nocy bezsennych musiałem spędzić, żeby go dostać. Jestem pewny, że gdyby pan Gulden wiedział, iż chcę go mieć, byłby mi go darował; ale nie zgodziłbym się na żadne ustępstwo, ani na grosz jeden, uważałbym to sobie za hańbę. Mówiłem sobie:

— Musisz zapracować na niego... sam, bez żadnej pomocy.

Tylko, obawiając się, by nie przyszła komu ochota kupić to cacko, odłożyłem je na stronę do pudełka i powiedziałem ojcu Melchiorowi, że mam kupca na zegarek.

Teraz łatwo pojąć, dlaczego wszystkie te historie z teatru wojny wchodziły mi jednym uchem, a wychodziły drugim. Pracując, wyobrażałem sobie radość Katarzyny; przez całe pięć miesięcy to tylko jedno stało mi przed oczyma, przedstawiałem sobie jej minę, z jaką przyjmie mój podarunek i zapytywałem siebie:

— Co ona powie?

Czasami zdawało mi się, że zawoła:

— Panie Józefie, co ty sobie myślisz? To nadto piękne dla mnie... Nie... nie... nie mogę przyjąć tak pięknego zegarka!

Wówczas zmuszałem ją do wzięcia go, wsuwałem do kieszonki jej fartuszką, mówiąc:

— No, Katarzyno, dajże pokój... Czy chcesz zrobić mi przykrość?

Dobrze widziałem, że pragnie go i że tylko, udaje wzdrganie.

Czasami wyobrażałem ją sobie całą zapłonioną; wznosiła do góry ręce, mówiąc:

— Boże! teraz, Józefie, widzę dobrze, że ty mnie kochasz!

I ze łzami w oczach całowała mnie.

Bardzo byłem szczęśliwy.

Ciotka Grédel zgadzała się na wszystko. Jednym słowem, tysiące i tysiące podobnych myśli snuło mi się po głowie i wieczorem kładąc się spać, tak dumałem:

— Niema szczęśliwszego od ciebie człowieka, Józefie! Teraz już z pracy swojej możesz zrobić podarunek Katarzynie. A i ona zapewne przygotowuje coś dla ciebie, na twoje imieniny, bo myśli tylko o tobie. Oboje jesteście bardzo szczęśliwi i wszystko pójdzie dobrze, jak się pobierzecie.

Tak myśląc, rozrzewniałem się, nigdy jeszcze nie byłem tak bardzo zadowolony.

Kiedy tak pracowałem, zajęty tylko moją radością, zima nadeszła prędzej niż zwykle, bo z początkiem listopada. Rozpoczęła się ona nie śniegiem, ale suchym chłodem i wielkimi mrozami. W kilka dni wszystkie liście opadły, ziemia stwardniała, jak kamień, i wszystko pokryło się szronem: dachówki, bruk i szyby. Trzeba było rozpalać ogień, ażeby zimno nie wchodziło szparami! Jeżeli drzwi zostawiono otwarte na jedną sekundę, ciepło uciekało niemi; drzewo trzaskało w piecu, paliło się, jak słoma, koniny ciągnęły dobrze.

Co rano śpiesznie myłem ciepłą wodą szybki wystawy sklepowej; ale za ledwie zamknąłem okno, natychmiast warstwa szronu pokrywała je. Słychać było, jak na dworze ludzie biegli sapiąc i chowając nos do kołnierza, a ręce w kieszenie. Nikt się nie zatrzymywał i drzwi domów szybko się zamykały.

Nie wiem, gdzie się podziały wróble, żyły one czy poginęły, ale ani jeden z nich nie ćwierkał na kominach i wyjąwszy odgłosu pobudki lub capstrzyka, żaden inny szmer nie przerywał ciszy.

Często, kiedy ogień płonął dobrze, pan Gulden nagle przestawał pracować i popatrzawszy przez chwilę na białe szyby, wołał:

— Biedni nasi żołnierze! Biedni nasi żołnierze!

Mówił to tak smutnym tonem, że aż mi się serce ścisnęło. Odpowiadałem mu:

— Ależ, panie Gulden, muszą oni być teraz w Polsce, w dobrych koszarach; bo niepodobna przecie myśleć, by ludzkie istoty były w stanie znieść takie zimno.

— Takie zimno! — mówił — Tak, w naszym kraju zimno jest, bardzo zimno, z powodu przeciągów od strony gór, a jednak cóż znaczy to zimno w porównaniu z mrozami północy, w Rosyi i w Polsce? Dałby Bóg, by wyruszyli w porę!... Mój Boże! mój Boże! jakże wielka odpowiedzialność ciąży na tych, którzy rządzą narodami!

To powiedziawszy, milkł, a ja godzinami całemi myślałem o tem, com usłyszał. Wyobrażałem so-

bie żołnierzy naszych w drodze, biegnących dla rozgrzania się. Ale wspomnienie Katarzyny wracało znowu i nieraz potem myślałem, że kiedy człowiek sam jest szczęśliwy, to go nieszczęście innych mało obchodzi, szczególnie w młodości, gdy namiętności są silniejsze, a niema doświadczenia wielkich nieszczęść.

Po mrozach takie spadły śniegi, że kurjerzy nie mogli przebyć wzgórz Quatre-Vents. Obawiałem się już, że nie będę mógł pójść do Katarzyny na jej imieniny; ale na szczęście, dwa pułki piechoty wyszły z łopatami i w stwardniałym śniegu przekopały drogę dla wozów; droga ta utrzymała się aż do początku kwietnia 1813 roku.

Tymczasem imieniny Katarzyny zbliżały się codzinnie i radość moja zwiększała się w tymże stosunku. Miałem już trzydzieści pięć franków, tylko nie wiedziałem, jak mam powiedzieć panu Guldenowi, że to ja kupuję zegarek; pragnąłem zachować to wszystko w tajemnicy: nieprzyjemnie mi było bardzo o mówić o tem.

Nakoniec, w wigilię imienin, między szóstą a siódmą godziną wieczorem, kiedyśmy w milczeniu pracowali obadwaj przy lampie, nagle zdobyłem się na postanowienie i rzekłem:

— Pamiętasz pan, panie Gulden, że mówiłem wam o kupcu na ten mały srebrny zegarek?

— Tak, Józefie — rzekł — nie przerywając sobie pracy; ale nie przyszedł on jeszcze.

— To ja nim jestem, panie Gulden, ja jestem tym kupcem.

Usłyszawszy to, wyprostował się zdziwiony.

Wydobyłem trzydzieści pięć franków i położyłem je na warstacie. On patrzył na mnie.

— Ależ, Józefie rzekł żartobliwie — zegarek ten nie dla ciebie; tobie potrzeba dużego zegarka, któryby ci zajął kieszonkę całą i któryby pokazywał sekundy. Te małe zegarki są dobre dla kobiet.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć na to.

Pan Gulden pomyślał chwil kilka, potem zaczął się śmiać.

— Ach dobrze, dobrze! — rzekł — teraz rozumiem, jutro święto Katarzyny! To dlatego pracowałeś dzień i noc! Masz, zabierz te pieniądze, nie chcę ich.

Byłem mono zmieszany.

— Panie Gulden, dziękuję panu bardzo — wyjąkałem — ale zegarek ten jest istotnie dla Katarzyny i rad jestem, że zapracowałem na niego. Zrobiłbyś mi pan przykrość, gdybyś nie chciał wziąć pieniędzy; wolałbym w takim razie zostawić zegarek.

Nic już na to nie odpowiedział i wziął trzydzieści pięć franków; potem otworzył swoją szufladę i wydobył z niej piękny, stalowy łańcuszek z dwoma małymi kluczykami ze złoczonego srebra i umocował je do zegarka. Potem wszystko to złożył do pudełka, które obwiązał różową wstążeczką. Robił to powoli, jak gdyby z rozrzewnieniem; nakoniec oddał mi pudełko.

— Piękny to podarunek, Józefie — rzekł —

Katarzyna powinna się uważać za szczęśliwą, że ma takiego, jak ty, kochanka. Pocziwa to dziewczyna. Teraz możemy jeść kolację; nakryj do stołu, a ja przyniosę zupę.

Zrobiwszy to, pan Gulden wyjął z szafy butelkę wina z Metz, którą chował na ważne tylko wypadki i wieczeraliśmy niby dwaj koledzy. Przez cały wieczór mówił mi wciąż o dobrych czasach młodości swojej, o tej, którą kochał niegdyś i którą musiał porzucić, kiedy w 92 roku wypadło pospolite ruszenie z powodu najazdu Prusaków; o tem, jak powróciwszy do Fénétrange, znalazł ją zamężną, co bardzo było naturalnem, ponieważ nigdy jej nie wyznał miłości swojej. Mimo to pozostał wierny temu tkliwemu wspomnieniu; mówił o tem z poważną miną. Ja słuchałem go, myśląc o Katarzynie; dopiero kiedy dziesiąta wybiła i patrole zminiały się, a powtarzało się to co dwadzieścia minut, z powodu wielkiego zimna, wrzuciliśmy dobre dwa polana do pieca i udaliśmy się na spoczynek.

III.

Nazajutrz 18 Grudnia, obudziłem się około szóstej godziny rano. Zimno było strasznie; małe okienko moje pokryło się niby zasłoną ze szronu.

W wigilię z wieczora zawiesiłem na poręczy krzesła mój niebieski surdut, spodnie, kamizelkę z koziej wełny, białą koszulę i piękną czarną krawatę. Wszystko było gotowe, pończochy, i dobrze wyczyszczone trzewiki stały przy łóżku; pozostawało mi tylko ubrać się, ale pomimo to chłód, który czułem na twarzy, widok tych szyb i wielka cisza na dworze, przejmowały mię dreszczem.

Gdyby to nie były imieniny Katarzyny, byłbym tak leżał do południa; ale na tę myśl nagle wyskoczyłem z łóżka i prędko pobiegłem do wielkiego kafłowego pieca, gdzie prawie zawsze przechowywało się pod popiołem trochę żaru z wieczora. Wygrzebałem kilka węgielków, spieszenie je ułożyłem w gromadkę,

na wierzch rzuciłem trochę suchego drzewa i parę grubych polan, poczem szybko wróciłem do łóżka.

Pan Gulden, z kołdrą naciągniętą na nos i ze szlafmycą nasuniętą na oczy, nie spał już od chwili i spokojnie leżał za wielkimi swemi firankami; usłyszawszy mnie, zawołał:

— Józefie, nigdy jeszcze, od czterdziestu lat, nie było tak zimno... Przeczuwam, jaką zimę będziemy mieli!

Nie odpowiedziałem nic; zdaleka patrzyłem, czy ogień się rozpala. Węgłe rozżarzały się dobrze; słychać było, cug w kominie i nagle wszystko zajęło się płomieniem. Widok ognia rozweselał wprawdzie, ale trzeba było pół godziny czasu na to, by powietrze nieco się ociepiło.

Nakoniec wstałem, zacząłem się ubierać. Pan Gulden mówił wciąż, ja myślałem tylko o Katarzynie.

Około godziny ósmej, kiedy już miałem wyjść, pan Gulden, który patrzył, jak się kręciłem w tę i w ową stronę, zawołał:

— Józefie, co ty sobie myślisz, biedaku? Czy to w tym surducie chcesz pójść aż do Quatre-Vents? Ale zginąłbyś na pół drogi. Wejdz do mego gabineetu, weźmiesz mój wielki płaszcz, rękawice i trzewiki o podwójnej podeszwie, podszyte flanelą.

Źnajdowałem siebie tak pięknym w mojem ubraniu, zem się zastanawiał nad tem, czy mam pójść za jego radą, a on, widząc to, rzekł:

— Słuchaj, znaleziono wczoraj człowieka zmarłego na wyniosłości Véchom; doktor Steinbrenner mówił, że trup, kiedy go dotykano, wydawał odgłos suchego drzewa. Był to żołnierz; opuścił wioskę między szóstą a siódmą, o ósmej znaleziono go nieżywego; tak to prędko idzie. Jeżeli chcesz stracić nos i uszy, to możesz tak wyjść.

Widziałem, że ma słuszną. Włożyłem tedy jego trzewiki, sznur od rękawic zarzuciłem na szyję, a na to wszystko narzuciłem płaszcz. I tak wyszedłem, podziękowawszy panu Guldenowi, który mnie przestrzegał, żebym nie wracał późno, bo zimno zwiększa się pod noc i wielka ilość wilków przeszła podobno Ren po lodzie.

Jeszcze nie doszedł do kościoła, a już podniosłem lisi kołnierz płaszcza, zasłaniając uszy. Mróz był tak ostry, że w powietrzu czuć było jak gdyby igiełki i człowiek mimowoli, kurczył się, jak mógł.

Pod bramą Niemiec, spostrzegłem sztyldwacha w wielkim, szarym płaszczu; krył się w budce, jak święty w swej niszy; karabin trzymał przez rękaw, ażeby nie odmrozić palców około żelaza, a dwa sople lodu wisiały mu przy wąsach.

Nikogo nie było na moście, ani przed domem akcyznym. Trochę dalej, po za odwachem fortiecznym, na środku drogi, ujrzałem trzy wozy; wielkie płótna, okrywające je, jak kosze, połyskiwały szronem; odprężnięto je i porzucono. Zdała wszystko zdawało się być umarłe, wszystkie żywe istoty chwia-

ły się, kryły w jakiejś dziurze; pod nogami lód trząskał.

Biegając koło cmentarza, którego krzyże i groby błyszczały wśród śniegu, mówiłem do siebie:

— Tym, którzy śpią tutaj, nie zimno już!

Przyciskałem płaszcz do piersi i nos kryłem w futrze, dziękując panu Guldenowi za dobrą myśl jego. Ręce ukryłem w rękawicach aż po łokcie i kłusem biegłem wielkim przekopem, który żołnierze przeprowadzili od miasta aż do Quatre-Vents. Były to ściany z lodu; w niektórych miejscach, gdzie północny wiatr zmiotł śnieg, widać było parów Fiquotu, las dębowy i niebieskawe góry, które w skutek przezroczystości powietrza, zdawały się być bardzo blisko. Nie słysząc już było szczekania psów na folwarku; dla nich także za zimno było.

Pomimo to wszystko, myśl o Katarzynie rozgrzewała mi serce i wkrótce dostrzegłem pierwsze domy Quatre-Vents. Kominy i dachy słomiane na prawo i lewo drogi zaledwie wystawały z po za gór śniegu, a wzdłuż ścian szła dróżka, którą właścianie przekopali dla przechodzenia z domu do domu. Ale dnia tego wszyscy siedzieli u siebie i małe, okrągłe okienka błyszczały, niby przekłute czerwonym, świecącym punktem, pochodzącym od wielkiego ognia wewnątrz. Przed każdymi drzwiami leżała wiązka słomy, nieprzepuszczająca chłodu do środka.

Przy piątych drzwiach na prawo, zatrzymałem się i zdjąłem rękawice, potem otworzyłem drzwi i szybko je zamknąłem za sobą. Był to dom mojej

ciotki, Grédeli Bauer, wdowy po Matyasie Bauer i matki Katarzyny.

W chwili, kiedy wchodziłem trzęsąc się i kiedy ciotka Grédel, siedząca przed ogniskiem, odwróciła głowę, mocno zadziwiona moim wielkim lisim kołnierzem, Katarzyna, świątecznie ubrana, w pięknej spódnicy w paski, w chustce o długich frendzlach, skrzyżowanej na piersiach, z czerwonym fartuszkim, zgrabnie opasującym jej szczupłą figurkę, w ładnym czepeczku z niebieskiego jedwabiu i czarnego aksamitu, który otulał jej różową, jasną twarzyczkę, łagodnie oczy i nosek trochę zadarty, — zawołała:

— To Józef!

I nie namyślając się, pobiegła uścisnąć mnie, mówiąc:

— Wiedziałam dobrze, iż zimno nie przeszkodzi ci przyjść.

Byłem tak szczęśliwy, że nie mogłem mówić...

Zdjąłem mój płaszcz, który zawiesiłem na ścianie wraz z rękawicami; zdjąłem również wielkie trzewiki pana Guldena i czułem, że byłem błądy z radości.

Chciałem powiedzieć coś dowcipnego, ale nie mi na myśl nie przychodziło, więc rzekłem prosto z mostu:

— Masz, Katarzyno, przyniosłem ci coś na imieniny; ale zanim otworzysz pudełko, musisz mię raz jeszcze pocałować.

Podąła mi swe piękne, różowe policzki, potem zbliżyła się do stołu; ciotka Grédel przysunęła się

także. Ja stałem z tyłu i serce mi biło, bałem się już teraz, że zegarek nie wyda się im dość pięknym. Ale po chwili Katarzyna, składająca ręce, z cicha wyszeptwała:

— O! mój Boże! jakże to piękne!... To zegarek.

— Tak — rzekła ciotka Grédel — tak, to zupełnie ładne; nigdy nie widziała tak pięknego zegarka... Jak gdyby srebrny.

— Ale! Czy to srebro? — zapytała Katarzyna zwracając się i patrząc na mnie.

Wtedy rzekłem:

— Czy sądzisz, ciotko Grédel, że śmiałym ofiarować zegarek z mosiądzu posrebrzanego tej, którą kocham nad życie? Miałbym siebie za ostatniego, gdybym był zdolny do czegoś podobnego.

Katarzyna, usłyszawszy to, zarzuciła mi na szyję obie ręce, a kiedyśmy tak stali, myślałem sobie:

— Jest to najpiękniejszy dzień życia mojego! Nie miałem odwagi puścić jej...

Ciotka Grédel zapytała:

— Cóż tu jest wymalowanego na szkle?

Lecz ja nie miałem siły odpowiadać i dopiero kiedyśmy siedli jedno obok drugiego, wziąłem zegarek i rzekłem:

— Malowidło to, ciotko Grédel, przedstawia dwoje kochanków, którzy się miłują więcej niż można wypowiedzieć: Józefa Berthe i Katarzynę Bauer;

Józef ofiaruje swojej ukochanej bukiet z róż, a ta wyciąga rękę do niego.

Dobrze przypatrzywszy się zegarkowi, ciotka Grédel rzekła:

— Chodź, niech cię ucałuję także, Józefie. Musiałeś bardzo oszczędzać i pracować na ten zegarek, to bardzo pięknie z twej strony... Widzę, że jesteś dobrym robotnikiem i że zaszczyt nam przynosisz.

Rozradowanem sercem uściśnałam ją i od tej chwili aż do południa nie puściłam już ręki Katarzyny: byliśmy szczęśliwi, patrząc na siebie.

Ciotka Grédel kręciła się koło ogniska, przygotowując *pfankugeny* z suszonych śliwek, *küchleiny* moczone w winie z cynamonem i inne jeszcze dobre rzeczy; ale nie zwracaliśmy na to uwagi. Ciotka, włożywszy swój kaftanik czerwony i swoje czarne saboty, zawołała z zadowoleniem:

— No, dzieci, do stołu!

Ujrzelśmy wtedy dopiero piękny obrus, wielką wazę, dzban z winem i *pfankugeny* okrągłe, ładnie podrumienione, na szerokim talerzu pośrodku. Widok ten ucieszył nas, a Katarzyna rzekła:

— Siądź tam, przy oknie, Józefie, żebym cię dobrze widziała. Tylko trzeba, żebyś mnie nauczył, co mam zrobić z zegarkiem? Nie wiem, jak go założyć...

Zarzuciłam łańcuszek na jej szyję, potem usiadłszy, smaczno zajadaliśmy.

Z dworu nie dochodził żaden odgłos: ogień trzaśkał na kominie. Dobrze było, bardzo dobrze w tej wielkiej kuchni; szary kot, trochę dziki, spoglądał na nas z daleka, z po za balustrady schodów w głębi, nie śmiając zejść.

Po obiedzie, Katarzyna zaśpiewała: *Der lieber Gott*. Miała głos słodki, który wznosił się aż do nieba. Ja śpiewałem z cicha, podtrzymując ją tylko. Ciotka Grédel, która nawet w niedzielę nie mogła się obejść bez roboty, zaczęła prząść; warczenie kołowrotka przerywało jedynie ciszę, wszyscy byliśmy wzruszeni. Skończywszy jedną piosenkę, zaczęliśmy drugą.

O trzeciej, ciotka podała nam *küchleiny* z cynamonem; jedliśmy razem z jednego talerza i śmieliśmy się, jak szczęśliwcy; czasami ciotka wołała:

— Ależ, ależ, prawdziwe z was dzieci!

Zdawała się gniewać, ale z oczu jej widać było, że cieszyła się w duchu.

Trwało to do godziny czwartej.

Wtenczas wieczór zaczął nadchodzić, przez małe okienka wciskała się ciemność i myśląc o tem, że wkrótce trzeba będzie rozstać się, usiedliśmy smutnie przy ognisku, gdzie błyskało płomień czerwone. Katarzyna ścisnęła mię za rękę; ja, pochyliwszy czoło, byłbym oddał życie, gdybym mógł zostać. Trwało tak dobre pół godziny, kiedy ciotka Grédel zawołała:

— Józefie... słuchaj... pora ci już iść. Księżyc wschodzi dopiero po północy i wkrótce zrobi się na

dworze tak ciemno, jak w piecu, a przy tych wielkich mrozach o nieszczęście nie trudno...

Słowa te były dla mnie ciosem; czułem, że Katarzyna wstrzymuje mię za rękę, ale ciotka Grédel miała więcej niż my rozumu.

— Dostyc — rzekła powstając i zdejmując ze ściany płaszcz; — wrócisz w niedzielę.

Trzeba było wdziać wielkie trzewiki, rękawice i płaszcz pan Guldena.

Pragnąłem, żeby to trwało sto lat; na nieszczęście, ciotka mi pomagała. Kiedy miałem już kołnierz podniesiony aż do uszu, rzekła mi:

— Uściskajmy się, Józefie.

Ucałowałem ją najprzód, potem Katarzynę, która nie mówiła już nic więcej. Poczem otworzyłem drzwi, a straszne zimno, jakie mię ze dworu uderzyło, było mi przestrogą, że nie powinienem dłużej zwlekać.

— Spiesz się! — upomniała ciotka.

— Dobranoc, Józefie, dobranoc! — wołała Katarzyna. — Nie zapomnij przyjść w niedzielę.

Odwrociłem się i machnąłem ręką, potem zacząłem biec szybko, bo tak zimno było, że po za długą sierścią kołnierza, oczy mi łzami zachodziły.

Biegłem tak ze dwadzieścia minut, zaledwie śmiać oddychać, kiedy ochrypty głos, głos pijaka, zawołał na mnie z daleka:

— Kto tam?!

Spojrzałem wówczas przed siebie i o pięćdziesiąt kroków ujrzałem wędrownego kupca Pinakla, z wielkim jego koszem, futrzaną czapką, wełnianymi rękawiczkami i kijem o ostrzu żelaznym. Latarnia, zawieszona na pasie kosza, oświecała opiłą twarz jego, podbródek najeżony żółtym włosiem i wielki nos kształtu nakrywki do gaszenia świec. Wytrzeszczał małe swe oczka, jak wilk, powtarzając:

— Kto tam?

Ten Pinakl był to największy łajdak w okolicy; miał nawet zeszłego roku brzydką sprawę z panem Guldenem, który dopominał się u niego o pieniądze za zegarek, który podjął się doręczyć panu Anst, proboszczowi z Homert i za który wzięte pieniądze schował do swej kieszeni, utrzymując zarazem, że mnie je oddał. Ale chociaż ten hultaj przysiągł na to przed sędzią pokoju, pan Gulden wiedział dobrze, że tak nie było, bo tego dnia ani on, ani ja nie wychodziliśmy z domu. Oprócz tego, kiedy Pinakl, podczas uroczystości w Quatre Vents, chciał tańczyć z Katarzyną, ta odmówiła mu, bo znała historię jego o zegarku, a zresztą zawsze wspierała się na mojem ramieniu.

Ten zatem nicpoń miał do mnie urazę i niebardzo mi cieszyło spotkanie się z nim na drodze, daleko od miasta i od wszelkiej pomocy, tembardziej, że miał w rękę jarzębinowy kij z ostrzem żelaznym. Szczęściem, na lewo ujrzałem dróżkę, która okalała

ementarz i nic mu nie odpowiadając, pośpieszyłem po niej, brnąc w śniegu prawie po pas.

On odgadłszy wówczas kogo spotkał, zawołał z wściekłością:

— Ach! ach! to mały kulas... Stój!... stój!... muszę ci powiedzieć dobranoc. Wracasz od Katarzyny, ty złodzieju zegarków!

Ja skakałem po śniegu, jak zając. Zrazu chciałem gonić za mną, ale kosz mu zawadzał; widząc, że mnie nie doścignie, przyłożył obie swe ręce do ust i wołał:

— Wszystko to jedno, kulasie, wszystko to jedno... Będziesz ty miał jednak za swoje. Zbliża się popis... wielki popis jednookich, kulawych i garbatych... Pójdiesz... i zostaniesz tam, jak inni...

To powiedziawszy, śmiejąc się, jak zwykle pijany, szedł dalej, a ja, nie mogąc prawie oddychać, wróciłem na drogę w miejscu, gdzie się poczyna pochylność szaniec, dziękując Bogu, że mała dróżka znalazła się tak blisko. Pinakl bowiem znany był dobrze z tego, że dobywał noża przy każdej waśni i teraz mógłby mi zrobić coś złego.

Pomimo ruchu, jakiego użyłem, nogi mi zziębły zupełnie, chociaż grube miałem podeszwy; zacząłem wówczas biec szybciej.

Tej nocy woda zamarzała w studniach Phalsburga, jak również wino w piwnicach, co się nie przytrafiło od sześćdziesięciu lat.

Przy odwachu fortecznym, około pierwszego mostu i pod bramą Niemiec, cisza wydała mi się

większą jeszcze aniżeli rano; noc nadawała jej jakiś straszliwy charakter. Parę gwiazdek świeciło między wielkimi, białymi chmurami, które zawisły nad miastem. Przez całą ulicę nie spotkałem ani żywej duszy. Kiedy nakoniec dostałem się do naszej sieni na dole i zamknąłem drzwi, zdawało mi się, że było w niej ciepło, a jednak mały rynsztok, który się znajdował koło ścian dziedzińca, zamarł. Zatrzymałem się i odetchnąłem chwilę, potem, trzymając się poręczy po ciemku wszedłem na schody.

Skorom otworzył pokój, ogarnęło mnie przyjemne ciepło pieca. Pan Gulden siedział przed ogniem, na fotelu, w czarnej swej, jedwabnej czapeczce, którą zesunął na kark i z rękami złożonemi na kolanach.

— To ty, Józefie? — zapytał nie odwracając się.

— Tak, panie Gulden — odpowiedziałem. — Jak tu dobrze! A jak zimno na dworze! Nigdy jeszcze nie mieliśmy takiej zimy.

— Tak, tak! — odparł tonem poważnym. — O! zimę tę ludzie długo pamiętać będą.

Poszedłem do gabinetu, by złożyć na swoje miejsce płaszcz, rękawice i trzewiki.

Miałem zamiar opowiedzieć przygodę moją z Pinaklem, ale kiedy wszedłem do pokoju, pan Gulden zapytał:

— Dobrze się bawiłeś, Józefie?

— O tak! Ciotka Gredel i Katarzyna przesyłają panu ukłony.

— No, tem lepiej! tem lepiej! — rzekł. — Młodzi słusznie czynią, że się bawią; bo kiedy człowiek starzeje się, każdą przyjemność psuje mu wspomnienie przeżytych cierpień, doznanych niesprawiedliwości i nieszczęść.

Mówił tak do siebie, patrząc w płomień. Nigdy nie widziałem go tak smutnym.

— Czy jesteś chory, panie Gulden? — zaga-dnąłem.

Ale on, nie odpowiadając mi, wyszeptał:

— Tak, tak, oto są wielkie wojenne narody... oto sława!

Kiwnął głową i pochylił się zamyślony, przy-czem wielkie jego, siwe brwi ściągnęły się.

Nie wiedziałem, co myśleć o tem, kiedy nagle, prostując się, rzekł:

— W tej chwili, Józefie, czterysta tysięcy rodzin płacze we Francyi: wielka nasza armia zginęła w lodach Rosyi. Wszyscy ci ludzie młodzi i silni, których widzieliśmy przechodzących przed dwoma miesiącami, zagrzebani są teraz w śniegach. Wiadomość przyszła popołudniu. Straszno pomyśleć o tem!

Ja milczałem.

Z tego wszystkiego to tylko rozumiałem, że wkrótce będziemy mieli nowy popis. Jak po wszystkich kampaniach, i tym razem bardzo być może, że kulawi należeć do niego będą.

Zbladłem na tę myśl i włosy mi powstały na głowie na wspomnienie przepowiedni Pinakla:

— Idź już, Józefie, połóż się spokojnie — rzekł do mnie ojciec Gulden — mnie się nie chce spać, zostanę tutaj... wszystko to mię porusza. Nic szczególnego nie zauważyłeś w mieście?

— Nic, panie Gulden.

Wszedłem do mego pokoju i położyłem się.

Długo nie mogłem zasnąć, myśląc o popisie, o Katarzynie, o tylu tysiącach ludzi, pogrzebanych pod śniegiem i o tem, że dobrze zrobię, jeżeli ucieknę do Szwajcaryi.

Koło godziny trzeciej usłyszałem, że pan Gulden kładzie się, a ja w kilka chwil potem usnąłem.

IV

Kiedy nazajutrz, około godziny siódmej, wszedłem do pokoju pana Guldena, chcąc zasiąść do roboty, pan Gulden leżał jeszcze w łóżku i zdawał się być mocno przygnębionym.

— Józefie — rzekł do mnie — niedobrze mi; wszystkie te straszne historye przyprawiają mnie chyba o chorobę; nie spałem wcale.

— Może zrobić panu herbaty? — spytałem.

— Nie, moje dziecię, nie, dziękuję ci; popraw tylko trochę ogień, wstanę później. Ale mamy dzisiaj poniedziałek, trzebaby nastawić zegary miejskie. Nie mogę iść, bo zmartwiłbym się więcej jeszcze, gdybym musiał patrzeć na rozpacz tych ludzi, których znam od trzydziestu lat. Słuchaj, Józefie, weź klucze, wiszące za drzwiami i idź sam; to będzie lepiej. Ja będę starał się uspokoić i zasnąć trochę... Gdybym mógł zasnąć jedną, lub dwie godziny, toby mi ulgę przyniosło.

— Dobrze, panie Gulden — rzekłem — idę zaraz.

Włożywszy drzewa do pieca, wzięłem płaszcz, rękawice pana Guldena i wyszedłem z pękiem kluczy w kieszeni.

Choroba ojca Melchiora zaniepokoiła mnie trochę, ale jedna myśl przyniosła mi pociechę; myślałem sobie:

— Wejdiesz na dzwonicę miejską i stamtąd zobaczysz dom Katarzyny i ciotki Grédel.

Tak myśląc, przybyłem do dzwonnika Brainsteina, który mieszkał na rogu małego placu, w małej, w ziemię zapadłej chałupce. Dwaj synowie jego byli tkaczami i w starym tem gnieździe od rana do nocy słychać było skrzypienie warstatów i świst czółenek.

Babka, tak stara, że nie widać już było jej oczu, spała w starożytnym fotelu, na którego poręczy siedziała sroka.

Ojciec Brainstein, jeżeli nie potrzebował dzwonić na chrzciny, pogrzeb, albo ślub, czytał kalendarz, siedząc przy małych, okrągłych szybkach okna.

Przyszedłem zatem do Brainsteina.

Stary, widząc mnie wchodzącego, powstał, mówiąc:

— To wy, panie Józefie?

Tak, ojczy Brainstein; przychodzę zamiast pana Guldena, który jest niezdrów.

— Ach! dobrze... dobrze... to wszystko jedno...

Wdział swe stare, trykotowe ubranie i grubą, wełnianą czapkę, spędziwszy kota, który spał na niej; potem wyjął z szuflady wielki klucz od dzwonicy i wyszliśmy.

Pomimo chłodu, rad byłem, że się znalazłem na świeżem powietrzu, bo w dziurze tej aż ciemno było od pary i trudno tam było oddychać; nigdy nie mogłem pojąć, jak ludzie ci mogli żyć w takiej duszocie.

Minąwszy ulicę, ojciec Brainstein rzekł:

— Słyszałeś już, panie Józefie, o wielkiem nieszczęściu, jakie stało się w Rosyi?

— Tak, ojczu Brainstein; to okropne!

— Zapewne! — potaknął — zapewne! Ale to przyniesie wiele Mszy kościołowi; bo to widzicie, każdy zechce, żeby mu odprawić Mszę za jego dziecko, tembardziej, że wszyscy poginęli w pogańskim kraju.

— Może macie słuszość — odparłem.

Przeszliśmy wówczas plac.

Przed komunalnym domem, naprzeciw odwachu, stało już kilka osób, chłopci i ludzie z miasta, którzy czytali ogłoszenie.

Weszliśmy na ganek, potem wstąpiliśmy do kościoła, gdzie więcej niż dwadzieścia kobiet, młodych i starych, klęczało na kamiennej posadzce, pomimo straszliwego zimna.

— Widzicie—rzekł Brainstein—czy nie mówię? Przychodzą już modlić się, a jestem pewny, że połowa ich jest tu już od godziny piątej!

Otworzył małe drzwi od wieży, którą przechodzi się do organów i w ciemności zaczęliśmy gramolić się po schodach. Znalazłszy się przy organach, zawróciliśmy się na lewo od miecha i doszliśmy aż do dzwonów.

Bardzo byłem rad, że ujrzałem błękitne niebo i odetchnął świeżem powietrzem, bo stęchlizna i nieznośny odór nietoperzy, które się gnieźdzą w wąskich i ciemnych korytarzach wieży, prawie zapierał oddech.

Ale jak straszne zimno było w tej klatce, otwartej na wszystkie strony i jakie olśniewające światło biło od tej masy śniegu, który zaścielał przestrzeń dwudziestomilową! Całe miasteczko Phlasburg i jego sześć bastyonów, jego trzy fortyfikacje półksiężycowe, dwa odwachy, koszary, prochownie, mosty, wały, szanice, wielki plac Broni i małe domki, wyciągnięte pod linią prostą, wszystko to rysowało się tam, jak na białym papierze. Widać było nawet głąb dziedzińców.

Ja, nie będąc przywykły do tak znacznych wysokości, musiałem mocno się trzymać środka platformy, bojąc się, by nie polecieć na dół, jak to się przytrafia podobno niektórym ludziom, którzy na wielkiej wysokości doznają oszołomienia i zupełnie tracą przytomność.

Nie śmiałem zbliżyć się do zegara, którego cyferblat wymalowany jest z tyłu i gdyby Brainstein nie dał mi przykładu, stałbym wciąż tak, uczepiwszy się belki dzwonów. Ale on rzekł:

— Chodźcie, panie Józefie i zobaczcie, czy dobrze idzie?

Wydobyłem wówczas wielki zegarek pana Guldena, który wskazuje sekundy i przekonałem się, że zegar późnił się bardzo! Brainstein pomagał mi ciągnąć wagi; uregulowaliśmy także wskazówki.

— Zegar zawsze się późni zimą — zauważył — a to dlatego, że żelazo się kurczy.

Oswoiwszy się trochę z tem wszystkim, zacząłem przyglądać się okolicom. Widziałem Baraki lasu dębowego, Baraki górne, Bigelberg; nakoniec poznałem Quatre-Vents, stojące na wzgórzu naprzeciw i dom ciotki Grédel; właśnie z komina wychodził dym, jak niebieska nitka, wznosząca się ku niebu.

Ujrzałem i kuchnię: wyobraziłem sobie Katarzynę w sabotach i spodniczce wełnianej, przędącą przy ognisku i myślącą o mnie... Tak byłem rozrzewniony, że już nie czułem zimna; nie mogłem oderwać oczu od tego komina.

Ojciec Brainstein, który nie wiedział, na co ja patrzę, rzekł:

— Tak... tak, panie Józefie, teraz pomimo śniegu, na wszystkich drogach mnóstwo ludzi; wielka wiadomość rozeszła się już i każdy chce się dokładnie dowiedzieć o nieszczęściu.

Przekonałem się, że ma słusność: na wszystkich drogach, na wszystkich drózkach pełno było ludzi, dążących do miasta; spojrzawszy na plac, spo-

strzegłem tłum wciąż wzrastający przed odwachem merostwa i przed pocztą. Dochodził mnie nawet jak gdyby wielki hałas.

Spojrzawszy raz jeszcze na dom Katarzyny, musiałem zejść.

Zaczęliśmy się znów spuszczać po schodach ciemnych, jak w piwnicy.

Kiedyśmy się znaleźli przy organach, z balkonu ujrzałem, że tłum powiększył się też bardzo w kościele: wszystkie matki, wszystkie siostry, wszystkie stare babki, bogate i ubogie, klęczały w ławkach i wśród największej ciszy modliły się za swoich najdroższych, ofiarując wszystko za łaskę oglądania ich raz jeszcze!

Z początku nie zrozumiałem tego dobrze, ale nagle przyszła mi myśl, że gdybym był rok temu wyjechał, Katarzyna byłaby tam także, modląc się i prosząc Boga o mój powrót. To mi przeszło serce, tak, że zadrżałem cały.

— Idźmy stąd, idźmy stąd! — szepnąłem do Brainsteina. — To okropne!

— Co? — zapytał.

— Wojna.

Zszliśmy schodami do głównych drzwi, potem przeszedłszy plac, udałem się do pana komendanta Mounier, a Brainstein wrócił do domu.

Przy ratuszu ujrzałem widowisko, którego nie zapomnę przez całe życie. Tam to znajdował się wielki afisz; pięćset osób z górą: mieszczanie i chłopi, mężczyźni i kobiety, przyciskając się jedni do

drugich, bladzi, z szyją wyciągniętą, w milczeniu patrzyli na afisz, jak gdyby na coś strasznego. Nie mogli go przeczytać i od czasu do czasu ten lub ów odzywał się po francusku lub po niemiecku:

— Nie zginęli przecież wszyscy!... Niektórzy przynajmniej wróca...

Inni wołali:

— Ale nic nie widać... nie można się przybliżyć!

Jakaś biedna staruszka, stojąca z tyłu, wzniosła rękę, wołając:

— Niestety... mój biedny Krzysztof!

Inni, jak gdyby oburzeni tym krzykiem, sarkali:

— Każcie milczeć tej starej!

Każdy myślał tylko o sobie.

A ludzi coraz więcej przybywało przez bramę Niemiec.

Nakoniec Harmentier, policyant, wyszedł z kordgardy i stanął na górnym stopniu, z afiszem, zupełnie podobnym do tego, który był na murze; kilku żołnierzy towarzyszyło mu.

Wszyscy wówczas pobiegli w tamtą stronę.

Ale żołnierze usunęli pierwszych z brzegu i ojciec Harmentier zaczął czytać afisz, który nazywano 29-tym biuletynem i w którym cesarz opowiadał, że podczas odwrotu, tysiące koni padało co noc...

Nie mówił nic o ludziach.

Policyant czytał zwolna, nikt nie odezwał się, ani słowa.

Staruszka, która nie rozumiała po francusku, słuchała, jak inni. Słysząc byłoby latającą muchę.

Ale, gdy policyant doszedł do tego ustępu:

„Kawaleria nasza tyle koni utraciła, że musiano połączyć oficerów, którym pozostały konie, dla utworzenia czterech kompanij, składających się ze stu pięćdziesięciu ludzi każda. Jenerałowie pełnili w nich obowiązki kapitanów, a pułkownicy podoficerów,“ otóż, kiedy przeczytał ten ustęp, który lepiej niż wszystko malował nędzę armii, ze wszystkich stron odezwały się krzyki i jęki; dwie czy trzy kobiety zasłabły... Uprowadzono je, podtrzymując pod ramiona.

Prawda, że afisz dodawał: „Nigdy jeszcze zdrowie cesarza nie było lepsze“ — i było to wielką pociechą. Na nieszczęście, nie mogło to wrócić życia trzystu tysiącom ludzi, zagrzebanym w śniegach. To też tłum się rozchodził w wielkim smutku....

Inni, którzy nie słyszeli nic, przychodzili nowymi gromadami i co godzinę Harmentier zjawiał się, aby znów czytać biuletyn. Trwało to aż do wieczora, a za każdym razem było to samo.

Uciekłem... wolałbym być nic nie widzieć.

Poszedłem do pana komendanta placu.

Kiedy wszedłem do salonu, znalazłem go przy śniadaniu. Był to człek stary ale silny, z czerwoną twarzą i dobrym apetytem.

— Ach! to ty! — rzekł. — Więc pan Gulden nie przyjdzie?

— Nie, panie komendancie, chory jest z powodu złych wiadomości.

— Rozumiem to — mruknął, wypróżniając szklankę. — Tak, to nieszczęście!

A podczas, kiedy podnosiłem klosz nad zegarem, on dodał:

— Ba! powiedz panu Guldenowi, że przyjdzie i na nas kolej... Do diabła! nie można przecie zawsze być górą. Od piętnastu lat prowadzimy ich przy odgłosie bębnow, sprawiedliwość wymagała, żeby dostało się im małe wynagrodzenie... A przytem honor nasz jest ocalony: nie bylibyśmy pobici, gdyby nie śniegi i mrozy. Kozacy mieliby się zpyszna... Lecz trochę cierpliwości; kadry będą wkrótce zapelnione, a wtenczas — strzeżcie się!

Nastawiałem zegar, a on powstał i przyszedł popatrzeć, bo wielkim był lubownikiem zegarmistrzostwa. Z wesołą miną pociągnął mię za ucho; potem, kiedym miał już odchodzić, zawołał, zapinając długi swój surdut, który rozpiął był do jedzenia:

— Powiedz ojcu Gulden niech śpi spokojnie, taniec rozpocznie się znowu na wiosnę; niezawsze będą mieli zimę za sobą, jak tamci. Powiedz mu to!

— Powiem, panie komendancie — odparłem, zamykając drzwi.

Szeroka twarz jego i dobry humor pocieszyły mię trochę; ale we wszystkich domach, gdzie byłem

następnie: u Hawichów, u Frantz-Tonich, u Durlachów, słyszałem same tylko skargi. Kobiety szczególnie były w rozpacz; mężczyźni nie mówili nic, przechadzali się wzdłuż i wszerz, z głową spuszczoną, nie patrząc nawet na to, co robiłem u nich.

Około godziny dziesiątej, pozostali mi tylko dwaj klienci. Jednym z nich był pan de la Vablerie Chamberlan, stary szlachcic, który mieszkał na końcu wielkiej ulicy z żoną i z córką, panną Joanną. Byli to emigranci, którzy wrócili przed dwoma czy trzema laty. U nikogo w mieście nie bywali, a przyjmowali tylko trzech czy czterech proboszczów z okolicy.

Pan de la Vablerie-Chamberlan lubił namiętnie polowanie; w głębi dziedzińca jego domu waleśsało się sześć psów i stał powóz na dwa konie. Ojciec Robert, z ulicy Kapucynów, służył tu za woźnicę, masztalerza i dojeżdźacza. Pan de la Vablerie zawsze był ubrany w kurtkę myśliwską, skórzaną czapkę i buty z ostrogami. Całe miasto nazywało go Wyżłem; ale nic złego nie mówiono ani o pani, ani też o pannie de Chamberlan.

Bardzo byłem przygnębiony w chwili, kiedy otwierałem ciężkie drzwi na bloku; hałas obracającego się bloka napelnił sień całą... Jakież było moje zdziwienie, gdym po chwili usłyszał, wśród tego powszechnego zmartwienia, śpiew i muzykę... Pan de la Vablerie śpiewał, a panna Joanna towarzyszyła mu na fortepianie. Nie widziałem jeszcze wów-

czas, że nieszczęście jednych rozwesela drugich; trzymając rękę na klamce, pomyślałem sobie:

— Nie wiedzą nic o wiadomościach z Rosyi...

Stałem jeszcze przy drzwiach korytarza, gdy z kuchni wyjrzała panna Ludwika, służąca, pytając:

— Kto tam?

— To ja, panno Ludwiko.

— To pan, panie Józefie? Proszę przejść tędy.

Ludzie ci mieli zegar w wielkim salonie, do którego rzadko kto zaglądał; wysokie okna, wychodzące na ogród, były zasłonięte żaluzjami; na to jednak, co miałem tam do zrobienia, było dość jasno. Przeszedłem zatem przez kuchnię i nastawiłem starożytny, przepyszny zegar z białego marmuru.

Panna Ludwika patrzyła na moją robotę.

— Macie gości, panno Ludwiko? — zapytałem jej.

— Nie, a nawet pan kazał nie przyjmować nikogo.

— Bardzo jakoś wesoło u was...

— Ach! tak! Pierwszy to raz od wielu lat; nie wiem, co im się stało.

Nakryłem zegar kloszem i wyszedłem rozmyślając nad tem, tak mi się to wydawało nadzwyczajnem. Nie przyszło mi nawet na myśl, że ludzie ci cieszyli się naszą porażką.

Stamtąd zawróciłem w drugą ulicę, by podążyć do ojca Féral, którego nazywano Chorążym,

bo mając czterdzieści pięć lat, będąc kowalem i ojcem rodziny oddawna, niósł chorągiew ochotników Phalsburga w 1792 roku i wrócił dopiero po kampanii zurichskiej. Miał trzech synów w armii rzymskiej, Jana, Ludwika i Jerzego; Jerzy był komendantem dragonów, dwaj inni oficerami w piechocie.

Wyobrażałem sobie z góry zmartwienie ojca Féral; ale było to jeszcze niczem w porównaniu z tem, com ujrział wchodząc do jego pokoju. Biedny stary, ślepy i zupełnie łysy, siedział w fotelu przy piecu, z głową pochyloną na piersi i z oczami szeroko rozwartymi, jak gdyby widział u nóg swoich leżących trzech synów; nie mówił nic, ale grube krople potu spływały mu z czoła na chude policzki, twarz zaś tak była blada, jak gdyby miał ducha wyzionąć. Czterech czy pięciu dawnych kolegów jego z czasów Rzezypospolitej: ojciec Desmarets, ojciec Niroi, stary Paradis, wielki Froissard, przyszli pocieszyć go. W największem milczeniu siedzieli dokoła niego, paląc fajki, z minami mocno zasmuconemi.

Od czasu do czasu ten lub ów odzywał się:

— No, Féral, no, czyż nie jesteśmy już starymi żołnierzami Sambry i Mosy?

— Odwagi, Chorąży, odwagi!... Czyż nie zdobyliśmy szturmem wielkiej baterii Fleurusa?

Albo coś podobnego jeszcze.

Lecz on nie odpowiadał im, tylko co chwilę wdychał, zapadłe jego policzki nadymały się, potem

pochylał się, a tamci dawali sobie znaki, kiwali głowami, jak gdyby mówiąc:

— Żle idzie.

Spiesznie naregulowałem zegar i wyszedłem, bo serce mi się krajało, patrząc na taką rozpacz starogo.

Wróciwszy do domu, znalazłem pana Gulden przy warstacie.

— A! to ty, Józefie? — rzekł. — No, i cóż?

— Ach, panie Gulden, mieliście słuszność nie chcąc wychodzić: straszne to...

I opowiedziałem mu szczegółowo, com widział i słyszał.

— Przeczuwałem to — szepnął wzdychając — ale to dopiero początek większych jeszcze nieszczęść: ci Prusacy, Austriacy, Rosyanie, Hiszpanie i wszystkie ludy, któreśmy rabowali od 1804 roku, skorzystają z naszego nieszczęścia i uderzą na nas. Ponieważ zachciało się nam dać im królów, których oni nie znali z imienia nawet i których nie życzyli sobie, teraz więc oni z kolei narzucają nam panujących, wraz z arystokracją i wszystkim, co za tem idzie. Takim sposobem pozwoleńszy z siebie wycisnąć wszystkie soki dla braci cesarza, utracimy wszystko to, cośmy przez rewolucję zyskali. Zamiast być na pierwszym miejscu, będziemy na ostatnim. Oto co nastąpi teraz. Przez cały czas, kiedyś był w mieście, myślałem tylko o tem. Jest to rzecz nieunikniona: żołnierze wszystkim byli u nas, a ponieważ

teraz nie mamy już żołnierzy, jesteśmy więc niczem!

To powiedziawszy wstał, ja nakryłem do stołu, Gdy jedliśmy w milczeniu, dzwony kościelne odezwały się nagle.

— Ktoś umarł w mieście — rzekł pan Gulden.

— Nie słyszałem o tem.

W dziesięć minut potem, wszedł rabin Rôse, żądając, aby mu wstawić szkiełko do zegarka.

— Któż to umarł? — spytał go pan Gulden.

— Stary Chorąży.

— Jakto? Ojciec Féral?

— Tak, przed pół godziną. Ojciec Desmarts i kilku innych chciało go pocieszyć. On koniecznie prosił ich o przeczytanie ostatniego listu syna Jerzego, komendanta dragonów, który pisał do niego, że na przyszlą wiosnę spodziewa się uściskać go ze szlifami pułkownika. Słuchając listu, stary chciał powstać, ale nagle upadł znów na krzesło, pochyliwszy głowę na kolana: serce mu pękło z żalu...

Pan Gulden nic na to nie odpowiedział.

Zajął się wstawieniem szkiełka, a skończywszy robotę, rzekł, oddając rabinowi zegarek:

— Oto jest, panie Rôse; należy się dwanaście susów.

Pan Rôse zapłacił i wyszedł, a my kończyliśmy obiad w milczeniu.

Pan Gulden mówił mi nieraz, kiedyśmy sami pracowali:

— Gdyby ci, co panują nad nami i którzy utrzymują, że Bóg ich zesłał na ziemię dla szczęścia naszego, mogli sobie wyobrazić, na początku kampanii, biednych starców i nieszczęśliwe matki, którym dla zaspokojenia własnej dumy wydzierają niejako serce i wnętrzności; gdyby mogli widzieć ich ży i słyszeć ich jęki w chwili, kiedy im powiedzą:— Dziecię wasze poległo... nie ujrzycie go już nigdy więcej! Zginęło pod kopytami koni, albo kulą ugodzone, albo w szpitalu, daleko,—po amputacyi, w gorączce, bez pociechy, wzywając was, jak wówczas, kiedy było jeszcze małym...—i gdyby mogli przedstawić sobie rozpacz tych matek: to sądzę, że ani jeden z pomiędzy nich nie byłby na tyle barbarzyńcą, żeby dalej chciał wojnę prowadzić. Lecz oni nie myślą o niczem; zdaje im się, że inni nie kochają dzieci swoich tak, jak oni sami kochają własne; ludzie, to bydłeta dla nich! Mylą się: cały wielki ich geniusz i wszystkie wielkie ich idee o sławie niczem są. Bo jeden jest tylko powód, dla którego cały naród powstać powinien, — mężczyźni, kobiety, dzieci i starcy: — kiedy kto nastaje na wolność naszą, jak w 92 roku; wówczas wszyscy razem giną, albo razem zwyciężają; ten, kto pozostaje w tyle — podłym jest; chce on, by inni bili się za niego... Zwycięztwo nie jest dla niektórych tylko, jest ono dla wszystkich. Ojciec i syn bronią rodziny swojej; jeżeli zginą, będzie to nieszczęście, ale zginą dla praw swoich. Oto,

V

W kilka dni potem dziennik ogłosił, że cesarz jest w Paryżu i że mają koronować króla rzymskiego oraz cesarżowę Maryę-Ludwikę. Pan mer, pan adjunkt i radcy municypalni mówili jedynie o prawach do tronu, a nawet była w tym przedmiocie umyślnie mowa w sali merostwa. Mowę tę napisał profesor Burquet starszy, a odczytał ją pan baron Parmentier. Nie rozczuliła ona jednak ludzi, każdy obawiał się, by go nie zaliczono do spisowych, przypuszczano bowiem słusznie, że trzeba będzie wkrótce wielu żołnierzy. Oto, co niepokoiło ludzi, a ja chudłem w oczach. Naprózno pan Gulden mówił mi:

— Nie lękaj się niczego, Józefie, ciebie nie wezmą. Sam rozum dyktuje, że taki kulawy, jak ty, człowiek, pozostałby w drodze na pierwszym popasie!

Wszystko to nie zmniejszało niepokoju mego.

O tych, co zginęli w Rosyi, nie myślał już nikt, z wyjątkiem ich rodzin.

Józefie, jedynie sprawiedliwa wojna, na którą nikt się uskarżać nie może; wszystkie zaś inne są hańbiąciami i sława, jaką dają, nie jest sławą człowieka: jest to sława dzikiego zwierzęcia!

Tak mówił dobry pan Gulden i ja tak, jak on, myślałem.

Aż nagle, 8 stycznia, zjawił się na ścianach merostwa wielki afisz, który obwieszczał, że cesarz, wraz z *Senatus-Consultum*, jak mówiono wówczas, powoływał najprzód 150,000 rekrutów z 1773 r., następnie 100 rot z pierwszego zapisu 1812 r. (ci sądzili, że się wywiną od tego), dalej 100,000 rekrutów z 1809 do 1812 r. i tak dalej aż do końca; wszystkie dziury miały być zapelnione, a nawet mieliśmy posiadać armię większą jeszcze od tej, jaka była przed kampanią rosyjską.

Kiedy ojciec Foure, szklarz, przyszedł i zawiadomił nas o tym afiszu, ja, słysząc to, niemal zasłabłem, myśląc sobie:

— Teraz już biorą wszystkich: ojców rodziny od 1809 r... Jestem zgubiony!

Pan Gulden zbryzgał mi twarz i szyję wodą; ramiona mi opadły, byłem blady, jak śmierć.

Zresztą, nie na mnie jednym tylko afisz merostwa wywarł podobne wrażenie; w owym roku wielu młodych ludzi uchylało się od wojska: jedni wyrywali sobie zęby, żeby nie móżdż odgryzać nabożów; inni pistoletem ustrzeliwali sobie pierwszy palec u rąk, by nie móżdż trzymać fuzyi; inni jeszcze

uciekali do lasów; nazywano ich dezertierami i nie wystarczało już żandarmów do ścigania ich.

W tymże samym czasie matki rodzin zebrały się na odwagę i zbuntowały się niejako, podżęgały bowiem synów do opierania się żandarmom. Używały do tego rozmaitych środków, a nawet wymyślały na cesarza; proboszczowie rozmaitych wyznań podtrzymywali je w tem. Jednym słowem — czara była przepełniona!

W dniu zjawienia się afisza, udałem się do Quatre-Vents; ale teraz już nie z radością w sercu, tylko jak ostatni z nieszczęśliwych, któremu odebrano jego miłość i życie. Nie mogłem się prawie utrzymać na nogach. Doszedłszy tam, nie wiedziałem, jak oznajmić o mojem nieszczęściu; ale wchodząc spostrzegłem, że o wszystkim wiadano już w domu, bo Katarzyna płakała gorzkimi łzami, a ciotka Grédel blada była z gniewu.

Najprzód uściskaliśmy się milcząc i pierwsze słowa, jakie ciotka Grédel wyrzekła do mnie, gwałtownie odrzucając włosy swoje za uszy, były:

— Nie pójdziesz!... Co nas obchodzą te wojny? Ksiądz proboszcz nawet powiada, że to już za wiele tego, że powinniśmy zawrzeć pokój. Zostaniesz! Nie płacz Katarzyno, powiadam ci, że on zostanie.

Zielona była ze złości i mówiąc to, roztrzącała garneczki swe.

— Oddawna już — dodała po chwili — zbryzdła mi ta rzeź. Niedawno dwaj nasi biedni kuzyni, Kasper i Yokel, złożyli kości swoje aż w Hiszpanii

za tego cesarza, a teraz znowu trzeba mu naszych; mało mu jeszcze tych trzystu tysięcy, które z łaski jego zginęły w Rosyi... Zamiast myśleć o pokoju, jak człowiek rozsądny, jemu w głowie to tylko, żeby wydać na rzeź tych, co pozostali jeszcze... Zobaczmy! Zobaczmy!

— Na miłość Boską! ciotko Grédel, nie mówcie w ten sposób... — rzekłem, spoglądając w okno — mógłby kto usłyszeć, a wtedy zginęlibyśmy wszyscy.

— Właśnie dlatego to mówię, żeby mnie słyszano — odparła; — twój Napoleon nie trwoży mnie wcale; zaczął od tego, że zabronił nam mówić, ażeby mógł robić wszystko, co zechce... Ale to się skończy!... Cztery młode kobiety utracą mężów swoich w jednej tylko wsi naszej, a dziesięciu biednych chłopców ma wszystko opuścić: ojców i matki, rodzeństwo i dach ojczysty.... To pogwałcenie praw Boskich i ludzkich, religii i sprawiedliwości... To ohydne!

Kiedy chciałem odpowiedzieć na to, nie dała mi przyjść do słowa i mówiła dalej:

— Milcz Józefie, milcz, człowiek ten nie ma serca!... skończy źle!... Bóg objawił się już tej zimy. Widział On, że jednego człowieka więcej się obawiają, aniżeli Jego samego; że matki nawet, jak za czasów Heroda, nie śmiały zatrzymywać przy sobie ciała swego ciała, kiedy on potrzebował go na rzeź. To też Bóg zesłał mrozy i wojsko nasze zginęło... I wszyscy, którzy teraz pójdą, zginą także: Bóg ma już dosyć tego! Ty nie pójdiesz — dodała upar-

ta kobieta — nie chcę, żebyś szedł; uciekniesz do lasu z Janem Kraftem, z Ludwikiem Bémem i wszystkimi najodważniejszymi chłopcami ze wsi; pójdziecie przez góry do Szwajcaryi, a Katarzyna i ja przyjdziemy do was i pozostaniemy aż do końca tych morderstw.

Ciotka umilkła nagle i zakrzętnęła się przy kuchni. Dziś przygotowała lepszy obiad niż ten, któryśmy jedli ubiegłej niedzieli. Podając go, rzekła głosem stanowczym:

— Jedzcie, moje dzieci, nie bójcie się... wszystko to się zmieni.

Około czwartej godziny wieczorem, wracałem do Phalsburga trochę spokojniejszy niż wówczas, kiedy z niego wychodziłem. Ale idąc ulicą Munitonnaire, słyszę na rogu kolegium bęben policyanta Harmentier i widzę wielki tłum ludzi, otaczający go. Biegnę więc tam, chcąc usłyszeć ogłoszenie i przybywam na sam początek.

Harmentier ogłaszał, że na mocy rozporządzenia *Senatus-Consultum*, losowanie popisowych nastąpi 15-go tego miesiąca.

Mieliśmy 8-go, zostawał więc tylko jeden tydzień. Wzruszyło mię to okropnie.

Wszyscy, którzy tam byli, w ponurem milczeniu rozchodzili się na prawo i lewo. Ja w największym smutku wróciłem do domu i rzekłem do pana Gulden:

— Losowanie odbędzie się w przyszły czwartek.

— Ach! — mruknął — nie tracą czasu... pilno im.

Można sobie wyobrazić, jak byłem zgryziony dnia tego i następnych. Nie mogłem usiedzieć na miejscu; wciąż miałem na myśli konieczność opuszczenia kraju. Zdawało mi się, że biegnę po lesie, a żandarmi gonią mnie, wołając:

— Stój! Stój!

Potem wyobraziłem sobie smutek Katarzyny, ciotki Grédel, pana Gulden. Czasami zdawało mi się, że idę w szeregu, obok wielu innych nieszczęśliwych, na których wołam: — Naprzód!... Na bagnety! — podczas gdy kule zmiatały całe szeregi. Słyszałem ryk dział i świst kul; jednym słowem byłem w okropnym stanie...

— Spokoju, Józefie — mówił mi pan Gulden — nie dręcz się tak. Pamiętaj o tem, że na całą liczbę popisowych, nie znajdzie się i dziesięciu może, mających tak słuszne, jak ty, przyczyny do pozostania. Slepym byłby chirurg, gdyby cię przyjął. Zresztą, zobacz się z panem komendantem placu... Uspokój się!

Pocieszające wyrazy nie mogły mnie jednak uspokoić.

Przebyłem cały tydzień w nadzwyczajnym strachu, a kiedy nadszedł dzień losowania, we czwartek rano, byłem tak blady, tak zmieniony, że rodzice in-

nych wpisowych zazdrościli mi poniekąd tego, złego pozoru.

— Ten — mówili do siebie — ma szczęście... Dmuchać tylko na niego, a upadnie... Są ludzie, co się rodzą pod szczęśliwą gwiazdą.

VI.

Trzeba było widzieć merostwo Phalsburga rano 15 stycznia 1813 r., podczas losowania.

Dzisiaj wyciągnąć zły los przy spisie, znaczy to stracić coś, być zmuszonym opuścić rodziców swoich, przyjaciół, wioskę, woły i pola swoje i iść Bóg wie gdzie, uczyć się:

— Raz... dwa!... raz... dwa!... Stój!... Oczy na prawo... oczy na lewo... Bacność! Broń na ramię!... i t. d.

Tak, to coś znaczy. Ale można przytem wrócić; można powiedzieć sobie na pociechę:

— Za ośm lat znajdę moje stare gniazdo, moich rodziców, a może nawet moją ukochaną... Poznawam świat... pozyskam pewne prawa do zostania gajowym lub gwardzistą miejskim!

Takie myśli pocieszają ludzi rozsądnych.

Ale w owych czasach, jeżeli miał nieszczęście wyciągnąć zły los, to już wszystko się kończyło:

często bywało, że na stu ani jeden nie wracał: myśli, że musisz rozstać się nazawsze z tem wszystkim, co kochasz, co ci drogie, nie mogła prawie zmieścić się w głowie.

Tego dnia zatem mieli najprzód ciągnąć losy chłopcy z Harberga, z Garburga i z Quatre-Vents; potem następowali mieszkańcy miast, a następnie ludzie z Wechem i z Mittelbronn.

Raniutko już byłem na nogach i wsparłszy się łokciami o warstat, patrzyłem oknem na ciągnące tłumy. Przed oczyma mojemu snuli się chłopcy w bluzach, biedni starcy w szlafmycach i kurtkach, stare kobiety w kaftanikach i spodnicach wełnianych, z pochylonym grzbietem, z twarzą wychudłą, z kijem lub parasolem pod pachą. Szli rodzinami. Pan podprefekt Sarreburga, ze srebrnym kołnierzem, i sekretarz jego, którzy dnia poprzedniego przyjechali i zatrzymali się pod Czerwonym Bykiem, patrzyli również przez okno.

Około godziny ósmej, pan Gulden zasiadł do roboty po śniadaniu; ja nic nie jadłem i wciąż patrzyłem. Zauważyłem, że pan mer Parmentier i adjunkt jego przyszedli po pana podprefekta.

Losowanie rozpoczęło się około godziny dziewiętej; wkrótce też odezwał się na ulicy klarnet Pfiłera-Karla i skrzypce wielkiego Andrzeja. Grali marsza szwedzkiego. Przy tej muzyce tysiące biedaków opuściło na zawsze starą Alzację. Rekruci tańczyli, trzymając się pod ręce, krzyczeli w niebogłosy i machając kapeluszami, piętami uderzali o ziemię;

starali się okazać jak największą radość, a śmierć mieli w duszy...

Cóż począć, taki zwyczaj...

A wielki Andrzej, suchy, sztywny, żółty, jak cytryna i towarzysz jego, okrągły, z policzkami wzdętymi aż do uszu, przypominali owych ludzi, co to prowadzą zmarłych na cmentarz, obojętnie rozmawiając z sobą.

Owa muzyka, owe krzyki przejmowały mię smutkiem.

Włożyłem właśnie surdut ze śpiczastemi połami i kapelusz pilśniowy, zabierając się do wyjścia, kiedy ciotka Grédel i Katarzyna weszły mówiąc:

— Dzień dobry, panie Gulden! Przyszliśmy na losowanie.

Zaraz spostrzegłem, że Katarzyna długo musiała płakać, bo oczy miała czerwone; uwiesiła mi się najprzód na szyi, podczas kiedy jej matka dreptała dokoła nas.

Pan Gulden odezwał się do nich:

— Wkrótce zapewne nadejdzie kolej młodych ludzi z miasta?

— Tak, panie Gulden — odparła Katarzyna słabym głosem — z Harberga już skończyli.

— Tak... tak... No, Józefie, czas ci już iść — rzekł. — Ale nie martw się. Nie lękajcie się. Bo widzicie, to losowanie tylko dla formy; oddawna już nikt nie wygrywa, jeżeli i wygra, to w dwa lub trzy lata później przegrywa: wszystkie numera są złe!

Kiedy rewizya nastąpi, zobaczymy wówczas, co się da zrobić. Dzisiaj, to tylko rodzaj rozrywki, którą urządzają ludziom, dając im ciągnąć na losy... ale wszyscy przegrywają.

— Mogą wszyscy inni przegrać — rzekła ciotka Grédel — Józef wygra.

— Tak, tak — potwierdził pan Gulden, uśmiechając się — niezawodnie.

Wyszedłem z ciotką i Katarzyną i udaliśmy się na wielki plac, gdzie się zgromadzały tłumy.

We wszystkich kramach tłoczyło się i popychało mnóstwo rekrutów, kupując wstążki; jak szaleni płakali, śmiejąc się. Inni, w oberżach, ściskali się łkając, ale śpiewali wciąż. Trzy kapele: cygana Waldteufła, Rosselkastena i Jerzego-Adama, przybyłe z okolic, grając jednocześnie każda co innego, wytwarzały dziką jakąś symfonię, która brzmiała przeraźliwie.

Katarzyna ścisnęła mi ramię, ciotka Grédel szła za nami.

Naprzeciw kordegardy, spostrzegłem już z daleka wędrownego kramarza Pinakła; otwarty tłumok jego leżał na małym stoliku, a tuż obok sterczał wielki drąg, obwieszony wstążkami, które sprzedawał rekrutom.

Chciałem szybko go minąć, lecz on zawołał na mnie:

— Hej! kulawy, zatrzymaj się, zatrzymaj!... Przybliź się... mam tu dla ciebie ładną wstążkę.

Dla ciebie trzeba prześlicznej... wstążki tych, którzy wygrywają!

I powiewał nad głową swoją wielką wstęgą czarną.

Widząc to, zbladłem pomimowoli.

Ale w chwili, kiedy wchodziliśmy do merostwa, jeden z rekrutów schodził na dół; był to Klipfel, kowal z Porte-de-France; wyciągnął właśnie numer 8 i z daleka krzyknął:

— Wstęgę czarną, Pinakl, wstęgę czarną!... Dawaj... bądźcobądź!

Miał twarz ponurą i śmiał się. Jego braciszek, Jan, płakał idąc z tyłu, za nim i wołał:

— Nie, Jakóbie, nie, nie czarną wstążkę!

Ale Pinakl przywiązywał już wstążkę czarną do kapelusza kowala, który mówił:

— Tego nam właśnie potrzeba teraz... Wszyscy jesteśmy umarli... musimy nosić żałobę swoją!

I dzikim głosem wykrzyknął:

— Niech żyje cesarz!

Wolałem widzieć tę wstążkę przy jego kapeluszu, aniżeli przy moim; szybko też wśliznąłem się w tłum, uciekając od Pinakla.

Z wielką trudnością dostaliśmy się do merostwa i wstąpiliśmy na stare, dębowe schody, po których ludzie, jak mrowisko, roili się w górę i na dół.

W wielkiej sali na górze, przechadzał się zandarm Kelz, utrzymując porządek, o ile było podobna. W sali radnej, obok, gdzie się znajduje wizerunek

Sprawiedliwości... przedstawionej z przepaską na oczach, — słyhać było wywoływane numera. Od czasu do czasu wychodził rekrut, z twarzą zapłonioną, przymocowując numer do swojej czapki i głową pochyloną przebijając tłumy, jak byk, któremu ciemno już w oczach i który chciałby rogi swe zdruzgotać o ścianę. Inni, przeciwnie, przechodzili z twarzą śmiertelnie bladą.

Okna merostwa były otwarte; na dworze słyhać kapele grające razem. Wszystko to sprawiało straszne wrażenie.

Scisnąłem rękę Katarzyny i powoli przedostaliśmy się przez te tłumy aż do sali, gdzie pan podprefekt, merowie i sekretarze głośno wykrzykiwali z trybuny numera.

Tak się ogłaszają wyroki, bo wszystkie te numera były prawdziwymi wyrokami.

Czekaliśmy długo.

Ani kropli krwi nie było już w żyłach moich, kiedy nakoniec wywołano imię moje.

Zbliżyłem się, nic nie widząc, ani słysząc, wsunąłem rękę do skrzynki i wyciągnąłem numer.

Pan podprefekt zawołał:

— Numer 17!

Potem odszedłem nic nie mówiąc, a za mną Katarzyna i ciotka.

Zeszliśmy na plac i tu odetchnąwszy świeżem powietrzem, przypomniałem sobie, że wyciągnąłem numer 17...

Ciotka Grédel zdawała się być mocno zmieszana.

— Włożyłam ci jednak coś do kieszeni — rzekła — ale ten nędznik Pinakl rzucił urok na ciebie.

To mówiąc, wyciągnęła z tylnej kieszeni mego surduta kawałek sznurka.

Gruby pot spływał mi kroplami z czoła; Katarzyna była niezmiernie blada i tak wróciliśmy do pana Guldena.

— Jaki masz numer, Józefie? — spytał mnie natychmiast.

— Siedmnasty—odrzekła ciotka, siadając i składając ręce na kolanach.

Pan Gulden również zdawał się być zmieszany przez chwilę, ale potem rzekł:

— Ten czy inny, to wszystko jedno... wszyscy pójdą... trzeba zapłacić kadry. Nic to nie znaczy dla Józefa. Udaję się do pana mera, do pana komendanta placu... Nie dlatego żebym kłamał, bo całe miasto wie przecie o tem, że Józef jest kulawy; ale w pośpiechu mogli nie zważać na to. I dlatego pójdę pomówić z nimi. Nie trwóćcie się zatem i miejcie nadzieję..

Słowa te pocziwego pana Gulden uspokoiły ciotkę Grédel i Katarzynę, które z dobrą myślą wróciły do Quatre-Vents.

Ale ze mną było inaczej; od tej chwili nie miałem już spokoju ani we dnie, ani w nocy.

Cesarz miał dobry zwyczaj: nie pozwalał rekrutom nudzić się w domu. Zaraz po losowaniu na-

stępowała rewizya, a w kilka dni potem rozdawano pasporta. Nie postępował tak, jak owi cyrulicy, którzy pokazują ci najprzód szczypce swoje i długo oglądają ci usta, tak, że słabo się robi, zanim się zdecydują na wyrwanie zęba. On załatwiał się szybko!

W trzy dni po losowaniu, Rada Rewizyjna zebrała się w ratuszu, wraz ze wszystkimi merami okolicznymi i kilku znaczniejszymi obywatelami dla objaśnienia, jeżeliby tych potrzebowano.

Dnia poprzedniego pan Gulden przywdział wielki, brązowy surdut, piękną perukę i poszedł nastawić zegary u pana komendanta i pana mera. Wrócił uśmiechnięty i rzekł do mnie:

— Pójdzie dobrze... Pan mer i pan komendant doskonale wiedzą o tem, żeś kulawy, to przecieź rzecz jasna, cóż u licha! Zaraz mi powiedzieli: — Ech! panie Gulden, ten młody człowiek kulawy, po cóż nam mówić o nim? Nie troszczcie się o niego, nie ułomnych potrzebujemy, ale żołnierzy. — Tak powiedzieli.

Słowa te były balsamem dla mego serca i tej nocy spałem, jak król.

Ale nazajutrz strach mnie zdjął na nowo: przypomniałem sobie nagle, że przecieź tylu ludzi brano do wojska pomimo ich ułomności... A ilu było takich, którzy używali różnych podstępów w celu oszukania Rady, naprzykład, połykając pewne płyny, aby wywołać bladeść twarzy, albo wiążąc sobie silnie nogi przy kostce, ażeby żyły nabrzmiały, albo udając głuchych, ślepych, idyotów.

Myśląc o tem, zadrzałem z obawy, żem może nie dosyć kulawy i postanowiłem dopomóc sobie także jakąś sztuką. Słyszałem kiedyś, że ocet sprowadza bole żołądka i nic nie mówiąc panu Gulden, wypłem wszystek ocet, jaki był we flaszczech serwisu. Potem ubrałem się, sądząc, że wyglądam, jak z krzyża zdjęty, ocet bowiem był bardzo mocny i czułem, że mi chodzi po żołądku. Kiedy jednak wszedłem do pokoju pana Gulden, ten spojrzawszy na mnie, wykrzyknął:

— Józefie, co ci jest? Czerwony jesteś, jak upior.

W istocie, spojrzawszy w lustro spostrzegłem, żem był czerwony aż do uszu, aż po koniuszek nosa. Przestraszyłem się wówczas; ale zamiast zblednąć, stałem się jeszcze bardziej czerwony. Z rozpaczą zawołałem:

— Teraz, już zgubiony jestem! Będę wyglądał jak ten, co nie ma żadnej ułomności, a nawet, co się czuje doskonale. To ocet tak mi uderzył do głowy.

— Jaki ocet? — spytał pan Gulden.

— Z serwisu. Wypłem całą flaszkę, ażeby być bladym, jak panna Sclapp, córka organisty, która też podobno octu używa w tym celu. O Boże, jakże nieszczęśliwą myśl miałem!

— To nie przeszkodzi ci być kulawym — rzekł pan Gulden; — ale chciałeś oszukać Radę i źle uczyniłeś, bo to nieuczciwie. No, pół do dziesiątej bije; Werner uprzedził mnie wczoraj, że masz się stawić na godzinę dziesiątą... Zatem śpiesz się.

Musiałem iść w takim stanie, jak byłem; ogień octu tryskał mi z policzków.

Katarzyna i ciotka Grédel, które czekały na mnie przy bramie merostwa, ledwie mię poznały.

— Wyglądasz wesół i zadowolony — rzekła ciotka Grédel.

Usłyszawszy te słowa, byłbym z pewnością zemdlał, gdyby ocet nie podtrzymawał mię pomimo mej woli. W największem przeto pomieszeniu wszedłem na schody, nie mogąc się zdobyć na żadną odpowiedź, tak byłem wściekły na moją głupotę.

Na górze już dwudziestu pięciu rekrutów, którzy utrzymywali, że są kalekami, zostało przyjętych, a innych dwudziestu pięciu wybladych, z policzkami zapadłymi, z głowami zwieszonemi, siedziało na ławce przy ścianie, czekając swojej kolei.

Stary żandarm Kerz, w wielkim, stosowanym kapeluszu, przechadzał się wzdłuż i wszerz; jak tylko mię zobaczył, zatrzymał się zachwycony i zawołał:

— A to ślicznie! a to ślicznie! Oto choć jeden, co idzie z ochotą; żądza sławy bije mu z oczu.

I kładąc rękę na mojem ramieniu, dodał:

— To dobrze, Józefie, przepowiadam ci, że zanim skończy się kampania, zostaniesz kapralem.

— Ależ ja kulawy jestem! — zawołałem z oburzeniem.

— Kulawy! — powtórzył Kerz, mrugając oczami i uśmiechając się — kulawy! To wszystko je-

dno. Kto tak wygląda, ten zawsze dojdzie do czegoś....

Zaledwie skończył mówić, kiedy drzwi sali radnych otworzyły się i drugi żandarm, Werner, wychylając przez nie głowę, głosem ostrym zawołał:

— Józef Berthe!

Wszedłem do sali, kulejąc, jak mogłem najciężej, a Werner zamknął drzwi za mną.

Merowie kantonu siedzieli na krzesłach w półkole, pan podprefekt i pan mer Phalsburga na środku w fotelach, a sekretarz Freylik przy swoim stole. Jakiś rekrut z Harbergu odziewał się napowrót; żandarm Descarmes pomagał mu układać szelki. Rekrut ów, z ciemnymi włosami, opadającymi na oczy, z nagą szyją i z gębą otwartą, miał minę człowieka, którego chcą wieszać. Dwóch doktorów i pan felczer pułkowy, w mundurach, rozmawiali na środku sali. Odwrócili się do mnie, mówiąc:

— Rozbierz się.

Rozebrałem się do koszuli, którą Werner mi zdjął.

Wszyscy patrzyli na mnie.

Pan podprefekt odezwał się:

— Oto chłopiec pełen zdrowia.

Wyrazy te rozgniewały mnie; pomimo to grzecznie zauważyłem:

— Kulawy jestem, panie podprefekcie.

Lekarze zbadali mię, a jeden z nich, któremu zapewne pan komendant placu wspomniał coś o mnie, rzekł:

— Lewa noga przykrótka.

— Ba! — odparł drugi — ale silna.

Potem, kładąc mi rękę na piersiach, dodał:

— Budowa dobra. Kaszlnij!

Kaszlnąłem, jak mogłem najslabiej; pomimo to jednak uznał, że mam zdrowe piersi i rzekł jeszcze:

— Spójrzycie na jego rumieńce... To się nazywa mieć zdrową krew!

Widząc, że gotowi mnie przyjąć, jeżeli nic nie powiem, odezwałem się wówczas:

— Napiłem się octu.

— Ach! — rzekł doktor — masz dobry żołądek, jeżeli lubisz ocet.

— Ale kulawy jestem! — krzyknąłem zrozpaczony.

— Ba! nie martw się — odpowiedział mi na to — masz nogi silne, ręczę za to.

— Młodzieniec ten jednak kuleje od urodzenia — wtrącił pan mer; — wszyscy o tem wiedzą w Phalsburgu.

— To zresztą widoczne — dodał pierwszy doktor — że ma jedną nogę krótszą, a to jedna z przyczyn, uwalniających od służby w szeregach.

— Tak — dorzucił mer — jestem pewien, że ten chłopiec nie mógłby wytrzymać długiego pochodu; musiałyby zostać na pierwszym postoju.

Pierwszy doktor nie powiedział już nic więcej...

Sądziłem, że uratowany od wojska, naraz pan podprefekt zapytał mię:

— Nazywasz się Józef Berthe?

— Tak, panie podprefekcie — odparłem.

— A więc, panowie — rzekł, wyjmując jakiś list z pugilaresu swego — posłuchajcie.

I zaczął czytać ów list, w którym ktoś zawiadamiał Radę, że sześć miesięcy temu, założyłem się z Pinaklem, iż pójdę do Sarane i wrócę stamtąd prędzej, niż on; że odbyłem tę drogę w niespełna trzy godziny i wygrałem zakład.

Na nieszczęście, była to prawda!

Ten nędznik Pinakl zawsze przezywał mię kulawym i zdarzyło się pewnego razu, że, rozdrażniony, istotnie się z nim założył. Wszyscy wiedzieli o tem, nie mogłem więc temu zaprzeczyć.

Stałem zmieszany i przygnębiony, a pierwszy doktor rzekł:

— To rozstrzyga kwestyę; ubierz się.

I zwróciwszy się do sekretarza, dodał:

— Zdatny do służby!

Ubierałem się z największą rozpaczą.

Werner przywołał kogoś innego.

Nie zwracałem już na nic uwagi... Ktoś dopomagał mi przy wkładaniu rękawów surduta. Sam nie wiedziałem, jak znalazłem się na schodach, a kiedy Katarzyna zapytała mię o rezultat rewizyi, odpowiedziałem na to wybuchem płaczu. Byłbym zleciał na dół, gdyby ciotka Grédel nie podtrzymała mię....

Wyszliśmy tylnymi drzwiami i minęliśmy mały plac; płakałem, jak małe dziecko; Katarzyna także. Zatrzymaliśmy się pod hallą i uścisnęli w półmroku.

Ciotka Grédel krzyczała:

— Och! zbroje!... teraz chwytają już kulawych nawet... nawet kaleki. Trzeba im wszystkich! Niechże i nas zabiorą!

Ludzie poczęli gromadzić się, a rzeźnik Sepel, który krajał tam mięso na rzeźniczym swym stole, rzekł:

— Matko Grédel, opamiętajcie się, na miłość Boską... Gotowi was wsadzić do więzienia.

— To dobrze, niech wsadzą! — zawołała — niech mnie zamordują! Powiadam, że mężczyźni są tchórzami, pozwalając na takie okropności!

Ponieważ policyant zbliżył się do nas, rozeszliśmy się, płacząc:

Minawszy kawiarnię Hemmerlé, znaleźliśmy się w domu.

Ludzie patrzyli na nas z okien i mówili do siebie:

— Jeszcze jeden nieszczęśliwiec! Jeszcze jedna ofiara!

Pan Gulden wiedząc, że ciotka Grédel i Katarzyna przyjdą do nas na obiad w dzień rewizyi, kazał przynieść z pod Złotego Baranka gęś nadziewaną i dwie butelki dobrego, alzackiego wina. Był przekonany, że zostanie uwolniony, jakież zatem było

jego zdziwienie, kiedy ujrzał nas w takim zmartwieniu.

— Co to znaczy? — zawołał, zsuwając jedwabną czapkę na tyse czoło i patrząc na nas wytrzeszczonymi oczami.

Nie miałem siły odpowiedzieć mu; upadłem na fotel, zalewając się łzami.

Katarzyna usiadła koło mnie i zarzuciła mi ręce na szyję; płakaliśmy głośno oboje.

Ciotka Grédel rzekła:

— Nędznicy, wzięli go!

— To być nie może! — wybuchnął pan Gulden, któremu ręce opadły.

— Tak jest, nie może już być nic gorszego — podchwyciła ciotka; — maluje to najlepiej złość ludzką.

I ozywając się coraz bardziej, wykrzykiwała:

— Czyż to już nie będzie żadnej rewolucyi?! Czy to już zawsze ci rozbójnicy będą panami?!

— No, no, matko Grédel, uspokójcie się — rzekł pan Gulden. — Na miłość Boską, nie krzyczcie tak głośno. Opowiedzcie rozsądnie. Musieli się omylić, nie może być inaczej... Więc ani pan mer, ani doktor szpitalny nie przemówili za tobą Józefie?...

Łkając, opowiedziałem wówczas o liście, a ciotka Grédel, która nic o tem nie wiedziała, zaczęła wołać, podnosząc pięście:

— Ach! rozbójnik! Niech tylko przyjdzie do nas! Siekierą rozplątam mu głowę.

Pan Gulden był przerażony.

— Jakto! I nie zaprzeczyłeś temu, nie zawołałeś, że to fałsz? — zapytał. — Więc ta historia jest prawdziwą?

Spuściłem głowę nie odpowiadając, a on składając ręce, szepnął:

— Ach! młodość, młodość, nigdy się nie zastanawia!... Jaka nieroztropność... jaka nieroztropność!...

Chodził po pokoju, potem siadł i obcierał okulary.

Ciotka Grédel odezwała się po chwili:

— Nie będą go jednak mieli; ich podstęp piekielny nie przyda im się na nic: dziś wieczorem jeszcze Józef będzie już w górach, w drodze do Szwajcaryi.

Usłyszawszy to, pan Gulden spoważniał, ściągnął brwi i rzekł:

— Jest to nieszczęście... wielkie nieszczęście... bo Józef istotnie kulawy... Pokaże się to niebawem. Po paru dniach marszu zostanie w tyle i zachoruje. Ale źle robisz, matko Grédel, że tak mówisz i tak złą radę mu dajesz.

— Zła rada! — powtórzyła matka Grédel. — A więc i wy jesteście za tem, by mordowano ludzi? I wy także, panie Gulden?

— Nie, matko Grédel — odparł pan Gulden — ja nie lubię wojny, szczególnie takiej, gdzie setki

tysięcy ludzi traci życie dla sławy jednego. Ale takie wojny skończyły się już; teraz już nie dla zdobycia sławy i królestw ściągają żołnierzy, teraz chodzi już o obronę kraju, który narażono przez tyranie i pychę. Teraz cesarz wolałby z pewnością pokój! Na nieszczęście, Rosyanie posuwają się ku nam, Prusacy łączą się z nimi, a nasi przyjaciele Austriacy czekają tylko sposobności, aby spaść nam na kark; jeżeli zatem nie pójdzie się na ich spotkanie, to oni przyjdą do nas i jak w 93 roku, cała Europa zwali się na nas. Jest to zatem zupełnie rzecz inna, niż owe wojny z Hiszpanią, Rosją i Niemcami. I ja, chociaż stary jestem, matko Grédel, jeżeli niebezpieczeństwo będzie wciąż tak wzrastało i jeżeli zapotrzebują starych wiarusów Rzeczypospolitej, wstydzilibym się iść robić zegary w Szwajcaryi, kiedy drudzy wylewaliby krew swoją w obronie kraju mego. Zresztą, pamiętajcie i o tem, że dezterterami wszędzie pogardzają. Kto raz to zrobi, ten już nigdzie nie zagrzeje miejsca, już nie ma ani ojca, ani matki, ani dzwonicy, ani ojczyzny... Ten już sam siebie uznał niezdolnym do spełnienia najpierwszego z obowiązków swoich: obowiązku miłowania i służenia krajowi swemu, nawet wówczas, jeżeli on błądzi.

To powiedziawszy, zasiadł do stołu.

— Jedzmy — odezwał się po chwili, widząc, że nie ruszamy się z miejsc swoich. — Otóż i dwunasta bije. Matko Grédel, Katrzyno, siadajcie.

Usiadły i jedliśmy w milczeniu.

Rozmyślałem o tem, co powiedział pan Gulden i zdawało mi się, że powiedział sprawiedliwie. Ciotka Grédel zaciskała usta i od czasu do czasu spoglądała na mnie, chcąc odgadnąć, co myślę. W końcu rzekła:

— Co do mnie, nie mogę szanować kraju, który zabiera ojców rodzinom, wytraciwszy najprzód młodzież! Gdybym była na miejscu Józefa, uciekłabym stanowczo.

— Posłuchajcie, ciotko Grédel — odpowiedziałem — wiecie dobrze, że nad wszystko przenoszę spokój; nie chciałbym jednak uciekać do innych krajów, jak jaki *heimathslóks*. Pomimo to jednak, zrobię tak, jak Katarzyna zechce: jeżeli ona zadecyduje, żebym się ukrył w Szwajcaryi, pójdę tam!...

Na to Katarzyna, spuściwszy głowę dla ukrycia łez, rzekła cichutko:

— Nie chcę, żeby cię nazywano dezterterem...

— A więc zrobię, jak inni! — zawołałem — ponieważ ludzie z Phlasburgu i Dageberga idą na wojnę, więc i ja pójdę!

Pan Gulden nie uczynił żadnej uwagi, rzekł tylko:

— Wolno każdemu postępować, jak chce; rad jestem jednak, że Józef tak myśli, jak ja.

Potem znów nastąpiło milczenie.

Około godziny drugiej, ciotka powstawszy, wzięła swój koszyk. Zdawała się być przygnębioną. Rzekła do mnie:

— Józefie, nie chcesz mię słuchać, ale to nic,

— wszystko przecież ma swój koniec, więc i te barbarzyńskie wojny trwać nie będą wiecznie. Wrócisz, jeżeli Bóg pozwoli, Katarzyna czekać będzie na ciebie.

Katarzyna, rzuciwszy mi się na szyję, znowu płakać zaczęła, a ja jeszcze więcej, niż ona; pan Gulden nawet nie mógł iez powstrzymać.

Nakoniec Katarzyna i jej matka wyszły, a ta ostatnia, na dole już będąc, zawołała:

— Postaraj się odwiedzić nas, Józefie, jeszcze chociaż parę razy.

— Z pewnością to uczynię — odparłem.

Nie mogłem się utrzymać na nogach; nigdy nie czułem się tak nieszczęśliwym i dziś jeszcze słabo mi się robi, gdy przypomnę sobie te ciężki chwile.

VII

Od dnia tego zupełnie straciłem głowę.

Z początku usiłowałem zająć się znów robotą, ale myśli moje wciąż były gdzieindziej. Pan Gulden, widząc moje roztargnienie, rzekł:

— Józefie, odłóż robotę.... korzystaj z czasu, który masz jeszcze przepędzić z nami; idź odwiedzić Katarzynę i matkę Grédel. Ja jeszcze mam nadzieję, że cię uwolnią. Ale kto tam zresztą wie?... Tylu ludzi potrzebują, że może się to jeszcze długo przeciągnąć.

Co rano więc chodziłem do Quatre Vents i dni całe przepędzałem z Katarzyną. Bardzo byliśmy smutni, ale zarazem szczęśliwi, że się tak często widujemy; więcej jeszcze, jeżeli to podobna, kochaliśmy się teraz niż dawniej.

Czasami Katarzyna próbowała śpiewać, jak za dobrych czasów; ale nagle zaczynała płakać. I płakaliśmy wówczas oboje, a ciotka Grédel znów prze-

klinała wojny, które są nieszczęściem dla wszystkich. Utrzymywała, że Rada Rewizyjna zasługuje na powieszenie i że wszyscy ci bandyci w zмовie byli z sobą, by zatruwać nam życie. Wyrzekania ciotki sprawiały nam pewną ulgę; znajdowaliśmy, że miała słuszość.

Wieczorem wracałem do miasta około ósmej lub dziewiątej godziny, w chwili, kiedy zamykano bramy, a przechodząc widziałem, że we wszystkich oberżach pełno było rekrutów i starych, uwolnionych żołnierzy, pijących razem. Rekruci zawsze płacili; tamci, w zatłuszczonej, żołnierskiej czapce na bakier, z nosem czerwonym, pokręcali węża, rozpowiadając z miną majestatyczną o swoich bitwach, swoich pochodach i pojedynkach.

Nie mogło być nic obrzydliwszego nad te dziury, pełne dymu, oświetlone lampą, zawieszoną u czarnej belki; nad tych starych rębaczy i tych młodych ludzi, pijących, krzyczących i stukających o stoły, jak ślepi.

Z tyłu za nimi, stara Aneta Schnaps, albo Marya Héryng, z włosami skręconemi i po nad szyją spiętymi grzebieniem o trzech zębach, patrzyły na to wszystko i od czasu do czasu skrobały się w bok, lub wychylały kieliszki za zdrowie walecznych.

Dla synów chłopskich, dla ludzi uczciwych i pracowitych, smutne to były dni. Ale nikt już nie miał ochoty pracować; każdy sprzedałby życie swoje za parę groszy.

Tak pijąc, krzycząc, z rozpaczą w sercu, zasypiano nareszcie z nosem na stole, a starzy wypróżniali dzbany, śpiewając:

Sława nas woła!

Patrząc na to wszystko, pomimo smutku, błogosławiłem Niebo, że mi dało uczciwych ludzi, którzy podtrzymywali odwagę moją i nie dawali mi wpaść w złe towarzystwo.

Trwało to aż do 25 stycznia.

Od kilku dni wielka liczba rekrutów włoskich, Piemontczyków, i Duńczyków, przybyła do miasta. Jedni grubi i tłuści, jak Sabaudczycy, karmieni kasztanami, ze spiczastym kapeluszem na kędzierzawych włosach, w spodniach z grubego sukna ciemnozielonego i w małych kurtkach z tegoż materiału, ale barwy ceglastej, spiętych skórzanym paskiem; mieli na nogach ogromne trzewiki i jedli ser na dworze, siedząc wzdłuż halli. Inni chudzi, czarniawi, trzęśli się w długich swoich kapotach, patrząc tylko na śnieg, leżący na dachu i wielkimi, czarnymi oczyma smutnie spoglądali na kobiety. Codziennie uczono ich na placu maszerować; mieli zapłacić kadry 6-go lekkiego pułku w Moguncyi i odpoczywali trochę w koszarach piechoty.

Kapitan rekrutów, Vidal, mieszkał nad naszym pokojem. Był to człowiek barczysty, silny, bardzo stanowczy, a jednak bardzo dobry i uczciwy przy-

tem. Przyszedł do nas dla naprawy swego zegarka, a dowiedziawszy się, że rekruit i że boję się zginąć na wojnie, uspokajał mnie, mówiąc:

— Wszystko zależy od przyzwyczajenia... Po pięciu lub sześciu miesiącach, człowiek bije się tak, jakby jadł chleb z masłem. Nawet wielu jest takich, którzy tak przyzwyczajają się strzelać z karabinów i dział do ludzi, że uważają się za nieszczęśliwych, jeśli im zabraknie tej przyjemności.

Ale ten sposób rozumowania niebardzo mi się podobał, tembardziej, że na jednym z policzków jego widziałem kilka grubych ziarn prochu, które głęboko wryły się pod skórę, a które, jak mię objaśnił, pochodziły z karabina pewnego Rosyanina, co wystrzelił do niego o kilka kroków tylko.

Stan wojskowy coraz bardziej mi się nie podobał, a że minęło już dni kilka bez żadnych wiadomości, zacząłem przeto myśleć, że zapomniano o mnie, jak o wielkim Jakubie z Chèvre-Hefu, o którego nadzwyczajnem szczęściu dotąd jeszcze wszyscy mówią. Ciotka Grédel powtarzała za każdym razem, kiedym był u nich:

— No... no... chcą widać zostawić nas w spokoju!

Ale rano 25 stycznia, w chwili, kiedy miałem iść do Quatre-Vents, pan Gulden, który z miną zamysłoną pracował przy swym warstacie, odwrócił się do mnie ze łzami w oczach i rzekł:

— Słuchaj, Józefie, chciałem, żebyś tę noc jeszcze przespał spokojnie; trzeba jednak, żebyś wie-

dział o tem, moje dziecię, że wczoraj wachmistrz przyniósł mi twój pasport. Odjeżdżasz z Piemontczykami, oraz z pięciu czy sześciu rekrutami z miasta: synem Klipfela, synem Loeriga, Janem Furstem i Gaspardem Gébédé. Idzicie do Moguncyi.

Słyszając to uczułem, że nogi uginają się pod mną i usiadłem, nie mogąc odpowiedzieć ani słowa.

Pan Gulden wyjął z szufladki swojej pasport, pięknym skreślony pismem i zaczął go czytać powoli. Pamiętam tylko tyle, że Józef Berthe, rodem z Dabo, kantonu phalsburskiego, okręgu Sarreburg, wcielony został do 6-go lekkiego pułku i że miał połączyć się z korpusem swoim 29 stycznia w Moguncyi.

Rozkaz ten sprawił na mnie wrażenie takie, jak gdybym o niczem dotąd nie wiedział; zdawało mi się, że to coś zupełnie nowego i czułem się mocno oburzony.

Po chwili milczenia, pan Gulden rzekł znowu:

— Włosi odchodzą dzisiaj, około godziny jedenastej.

Budząc się wówczas, jak gdyby z przerażającego snu, zawołałem:

— A więc nie zobaczę już Katarzyny?

— Owszem, Józefie, owszem — rzekł drżącym głosem pan Gulden — zawiadomiłem matkę Grédel i Katarzynę, przyjdą zatem; będziesz mógł pożegnać się z niemi przed odjazdem.

Widziałem, że bardzo sam był zmartwiony, a to

powiększało jeszcze mój smutek; z największą trudnością wstrzymywałem się od łez.

Po chwili odezwał się znowu:

— Nie potrzebujesz troszczyć się o nic, wszystko przygotowałem już naprzód. Kiedy wrócisz, Józefie, jeżeli Bóg zachowa mnie jeszcze przy życiu, znajdziesz mnie zawsze jednako dla ciebie usposobionym. Starzeję się już; największym szczęściem dla mnie byłoby, gdybym mógł mieć w tobie syna, bo masz dobre serce i zdrowy rozsądek uczciwego człowieka; byłbym ci odstąpił sklep mój... dobrzeby nam było razem... Katarzyna i ty bylibyście dziećmi moimi... Ale ponieważ inaczej być musi, trzeba się poddać losowi. Wszystko to niedługo trwać będzie; uwolnią cię, jestem tego pewny; przekonają się wkrótce, że nie możesz odbywać długich pochodów.

Kiedy tak mówił, ja, spuściwszy głowę na kolana, płakałem z cicha.

Nakoniec, pan Gulden powstał, wyjął z szafy tornister żołnierski ze skóry cielęcej i położył go na stole.

Przygnębiony, patrzyłem na niego, myśląc tylko o swoim nieszczęściu.

— Oto twój tornister — rzekł pan Gulden. — Włożyłem do niego wszystko, czego potrzebujesz: dwie koszule płócienne, dwa kaftaniki flanelowe i resztę bielizny. W Moguncyi dostaniesz jeszcze dwie koszule, nie potrzebujesz nic więcej. Kazałem ci też zrobić trzewiki, bo niema nic gorszego nad

trzewiki, które liweranci dostarczają; są one najczęściej z końskiej skóry, a ta okropnie rozpala nogi. Ty i bez tego niebardzo mocne masz nogi, mój chłopcze, trzeba zatem o nich pamiętać. Otóż tak... to już wszystko.

Położył tornister na stole i usiadł.

Na dworze słyhać było, jak się Włosi krzatali, przygotowując do pochodu. Nad nami, kapitan Vidal wydawał rozkazy. Koń jego stał w koszarach żandarmskich; kapitan kazał żołnierzowi swemu zobaczyć, czy dobrze go wyczyszczono, czy dano mu owsa.

Cały ten ruch, ten hałas, dziwne wrażenie sprawiał na mnie; jeszcze mi się wierzyć nie chciało, że mam opuścić miasto.

Kiedy tak dręczył mnie straszny niepokój, drzwi się otwały i Katarzyna, płacząc, rzuciła mi się w objęcia, a matka Grédel zawołała:

— Mówiłam ci, że powinieneś uciekać do Szwajcaryi... że nędznicy pochwycają cię wreszcie... Mówiłam... nie chciałeś mi wierzyć.

— Matko Grédel — odpowiedział na to pan Gulden — odjechać dla spełnienia obowiązku, nie jest to tak wielkiem nieszczęściem, jak zasłużyć na pogardę uczciwych ludzi. Zamiast krzyczeć i czynić wyrzuty niesłuszne, lepiej zrobiecie, starając się pocieszyć Józefa i dodać mu odwagi.

— Ależ ja nie robię mu wyrzutów, nie! — podchwyciła spiesznie — każdy jednak przyzna, że strasznie patrzeć na to, co się dzieje.

Katarzyna usiadła przy mnie i pieściliśmy się, jak dzieci.

— Powrócisz? — mówiła, ściskając mnie.

— Tak... tak — szepnąłem. — A ty zawsze będziesz o mnie pamiętała... nie pokochasz innego?

Ona płacząc, odparła:

— Nigdy!... Ciebie tylko zawsze kochać będę!...

Trwało to kwadrans może, wreszcie drzwi się otworzyły i wszedł kapitan Vidal, z płaszczem zwinętym na plecach.

— No i jakże — zapytał — no, i jakże? A nasz młodzieniec?

— Oto on — odparł pan Gulden.

— Acha! — uśmiechnął się kapitan — płacząc, rozpaczając, to rzecz naturalna. Pamiętam to... zawsze kogoś pozostawiamy.

Potem, podnosząc głos, dodał:

— No, młodzieńcze, odwagi! Nie jesteśmy już dziećmi, cóż u licha?!

Popatrzył na Katarzynę.

— Rzecz naturalna — rzekł do pana Guldena — rozumiem dobrze, iż mu się nie chce odjechać.

Bito w bębny na wszystkich rogach ulic; kapitan Vidal mruknął:

— Mamy jeszcze dwadzieścia minut do wymarszu.

Spojrząwszy na mnie, rzekł, ściskając rękę pana Gulden:

— Trzeba stanąć na pierwszy apel, młodzieńcze!...

Wszedł.

Słysząc było, jak przed domem koń jego kopytami bił o ziemię.

Czas był pochmurny, ciężar smutku tłoczył mnie; nie miałem odwagi opuścić Katarzyny.

Nagle wszystkie bębny odezwały się na placu.

Pan Gulden, podnosząc tornister za rzemyki, rzekł głosem poważnym:

— Józefie, uściśnijmy się... czas już.

Blady, wyprostowałem się, a on mi przymocował tornister na plecach.

Katarzyna, zakrywając twarz fartuchem, płakała. Matka Grédel, stojąc, patrzyła na mnie z zacisniętymi ustami.

Bębny grzmiały przez chwilę, wreszcie umilkły....

— Rozpocznie się apel — rzekł pan Gulden, ściskając mnie.

Nagle żal jego wybuchł gwałtownie, zaczął płakać z cicha, zowiąc mnie dzieckiem swoim i powtarzając:

— Odwagi, Józefie! Odwagi!

Matka Grédel usiadła; kiedym się nachylił ku niej, ujęła głowę moją w swoje ręce i całując ją, wołała:

— Zawsze cię kochałam, Józefie, od dzieciństwa twego... zawsze cię kochałam! Sprawiałeś nam

zawsze przyjemność osobą swoją, a teraz musisz odjechać... Mój Boże, mój Boże, jakie nieszczęście!

Ja nie płakałem już.

Kiedy ciotka wypuściła mnie z objęć swoich, spojrzałem na Katarzynę, która nie ruszała się z miejsca; zbliżyłem się do niej, ucałowałem ją w szyję. Nie wstała. Szybko wychodziłem już z pokoju, czując, że tracę siły, kiedy ona zawołała głosem rozdzierającym:

— Józefie!... Józefie!...

Odwrociłem się wówczas.

Rzuciliśmy się znów w objęcia i przez chwil kilka staliśmy tak płacząc.

Katarzyna nie mogła się utrzymać na nogach; złożyłem ją na fotelu i wybiegłem, nie oglądając się.

Byłem już na placu, wśród Włochów i tłumu rodziców, którzy krzyczeli i płakali żegnając synów swoich, a nic nie widziałem i nic nie słyszałem.

Kiedy uderzono znów w bębny, rzuciłem okiem w prawo i w lewo, wtedy dopiero spostrzegłem, że stoję między Klipfelem i Furstem; obaj mieli tornisty na plecach. Rodzice ich przed nami, na placu, płakali, jak na pogrzebie.

Na prawo, przy ratuszu, kapitan Vidal, na swojej małej, siwej kłaczy, rozmawiał z dwoma oficerami piechoty. Sierzanci wywoływali po imieniu, a rekruci odpowiadali. Wołano: Zébédé! Furst! Klipfel! Berthe!—a my odpowiadaliśmy, jak inni; potem kapitan zakomenderował:

— Marsz!

Wówczas ruszyliśmy po dwóch ku bramie Francji....

Na rogu, koło piekarza Spitz, staruszka na pierwszym piętrze, zawołała z okna przytłumionym głosem:

— Kasprze! Kasprze!

Była to babka Zébédého.

Podbródek jej trząsał się, była bardzo blada.

Zébédé, nic nie mówiąc, podniósł rękę; był także bardzo smutny i szedł ze spuszczoną głową.

Ja drżałem na samą myśl, że będę przechodził mimo naszego domu.

Nogi chwiały się pode mną, kiedyśmy się tam zbliżali. Słyszałem także, że ktoś wołał z okna, ale odwróciłem głowę w stronę oberży pod Bykiem Czerwonym; odgłos bębnów zagłuszył wszystko.

Dzieci biegły za nami, wołając:

— Idą już... Patrz — oto Klipfel, oto Józef!

Pod bramą Francji, żołnierze, odbywający wartę, stali w szeregu, z bronią na ramieniu i patrzyli na nas przechodzących. Przeszliśmy około odwachu, potem bębny nasze umilkły i zwróciliśmy się na prawo. Słyszać było tylko pluskanie nóg po błocie, bo śnieg topniał.

Minęliśmy folwark Géberhoffa i mieliśmy już schodzić z pochyłości wielkiego mostu, kiedy usłyszałem, że ktoś mówi do mnie: był to kapitan, który z konia swego wołał:

— Dobrze, młodzieńcze, jestem kontent z ciebie!...

Usłyszawszy to, nie mogłem się jeszcze wstrzymać od łez i wielki Furst także. Płakaliśmy idąc. Inni, bladzi, jak śmierć, nic nie mówili.

Na wielkim moście, Zébédé wydobył fajkę swoją. Przed nami Włosi rozmawiali i śmieli się, byli już bowiem od trzech tygodni przyzwyczajeni do takiego życia.

Kiedyśmy weszli na wyniosłość Mettingu, o dobrą milę od miasta, Klipfel dotknął ramienia mego i odwracając głowę, rzekł:

— Patrz tam...

Spojrzałem i spostrzegłem daleko po nad nami koszary, prochownię i dzwonicę, z której, sześć tygodni temu, ze starym Brainsteinem patrzyłem na dom Katarzyny; wszystko to było szare, dokoła opasane czarnym lasem. Chciałbym zatrzymać się chwilę, — ale oddział szedł, trzeba było iść z nim razem.

Zeszliśmy do Mettingu.

VIII

Tegoż dnia doszliśmy do Bitche, nazajutrz do Hernbachu, do Kaiserslauten i t. d. Śnieg znowu zaczął padać.

Ileż razy, w ciągu tej długiej drogi, załowałem płaszcz pana Guldena i jego trzewików o podwójnej podeszwie!

Przechodziliśmy przez mnóstwo wiosek, leżących to w górach, to na płaszczynach. Wchodząc do każdego miasteczka, dobosze przytracali do pasów bębny swoje i wybijali marsza; prostowaliśmy się wówczas, stąpaliśmy w takt, ażeby uchodzić za starych żołnierzy. Mieszkańcy stawali u małych okienek domów albo we drzwiach i mówili:

— To rekruci.

Wieczorem na postoju, radzi byliśmy wszyscy, że strudzone nogi nasze odpocząć mogły. Ja szczególnie pragnąłem wypoczynku. Nie mogę powiedzieć, żeby mnie noga krótsza bolała; bolały mnie

stopy obie... Nigdy jeszcze nie był tak zmęczony!....

Palet kwaterunkowy dawał nam prawo do miejsca przy ognisku; ale mieszkańcy sadzali nas także przy swoim stole. Prawie zawsze mieliśmy mleko kwaśne i kartofle, czasami też świeżą słoninę na półmisku z kapustą. Dzieci przypatrywały się nam ciekawie; starzy pytali nas, skąd jesteśmy, cośmy robili, zanim nas wzięli do wojska; młode dziewczęta patrzyły na nas smutnie, marząc o swoich kochanych, których wzięto do wojska sześć lub siedem miesięcy temu. Potem dawano nam łóżko parobka. Z jaką przyjemnością wyciągałem się w niem! — jakżebym się przespał dwanaście godzin. Ale raniutko, o brasku dnia, bęben już budził; patrzyłem na ciemne belki sufitu, na małe szybki okna, pokryte lodem i zapytywałem siebie:

— Gdzież jestem?

Nagle serce mi się ścisnęło, mówiłem do siebie:

— Jesteś w Bitche, w Kaiserslautern... jesteś rekrutem!

Trzeba było prędko ubierać się, wkładać na siebie tornister i biec do apelu.

— Szczęśliwej podróży! — mówiła gospodyni.

— Dziękuję — odpowiadał rekrut.

I wyruszało się w drogę.

Tak... tak... szczęśliwej podróży! Nie ujrzą cię więcej, biedaku.... Iluż innych szło tą samą drogą!

Nigdy nie zapomnę, jak w Kaiserslautern, na-

zajutrz po wyjściu z Phlasburga, otworzywszy tornister, aby wziąć czystą koszulę, znalazłem między bielizną zawiniątko dosyć ciężkie, a otworzywszy je, ujrzałem pięćdziesiąt cztery franki w sztukach sześciofrankowych, na papierze zaś następujące słowa, skreślone ręką pana Guldena:

„Bądź zawsze dobrym i uczciwym na wojnie. Pamiętaj o krewnych swoich, o tych, dla których życie swoje byłbyś oddał. Po ludzku obchodź się z cudzoziemcami, ażeby oni podobnie postępowali z naszymi. Niech cię Bóg prowadzi... niech cię chroni od niebezpieczeństw. Oto masz trochę pieniędzy, Józefie. Dobrze jest, kiedy się jest daleko od swoich, zawsze mieć trochę pieniędzy. Pisz do nas jak tylko będziesz mógł najczęściej. Całuję cię, dziecię moje i przyciskam do serca mego“.

Czytając te słowa, wylewałem łzy i myślałem:

— Niezupełnie jesteś opuszczonym na ziemi... Zagni ludzie pamiętają o tobie! Nigdy ich rad dobrych nie zapomnisz.

Nakoniec piątego dnia, około godziny piątej wieczorem, weszliśmy do Moguncyi. Jak długo żyć będę, nie zapomnę dnia tego.

Zimno było straszliwe; opuściliśmy nocleg bardzo rano i zanim doszliśmy do miasta, minęliśmy mnóstwo wsi, pełnych kawaleryi i piechoty. Tu widzieliśmy dragonów w małych kurtkach, w sabotach, wysłanych słomą, zajętych kruszeniem lodu w korytach, dla napojenia koni; inni nieśli wiązki paszy do stajen. Owdzie stały konwoje z prochem, z ku-

lami, pokryte szronem. Tam znów sztafety, oddziały artylerji. Gdzieindziej wreszcie pontonierzy chodzili po białych polach, nie zwracając na nas wcale uwagi, jak gdybyśmy nie istnieli.

Kapitan Vidal, chcąc się rozgrzać, zsiadł z konia i szedł szybko; oficerowie i sierżanci naglili nas do pośpiechu. Pięciu czy sześciu Włochów pozostało po wsiach, nie mogąc iść dalej. Mnie stopy paliły boleśnie; na ostatnim postoju za ledwie podnieść się mogłem. Inni phlasburczycy maszerowali dobrze.

Noc madeszła, niebo zaśkrzyło się gwiazdami. Wszyscy patrzyli przed siebie i mówili:

— Zbliżamy się! zbliżamy!

Rysująca się na tle nieba ciemna linia, czarne punkta i świecące szczyty zwiastowały wielkie miasto.

Nakoniec wkroczyliśmy między przedforteczne odwachy, a potem między bastiony z ziemi, ciągnące się w zygzak. Maszerowaliśmy w milczeniu. Po za fortyfikacyami, tworzącemi półksiężyc, ujrzelśmy fosę, pokrytą lodem, po nad nią szanice z cegły a naprzeciw nas starą, ciemną bramę i most zwodzony. Na górze, warta pod bronią krzyknęła do nas:

— Kto tam?

Kapitan odpowiedział:

— Francya!

— Jaki pułk?

— Rekruci z 6-go lekkiego.

Nastąpiła chwila ciszy, potem most zwodzony opadł, ludzie ze straży wyszli dla sprawdzenia przybyłych. Jeden z nich niósł wielką latarnię. Kapitan Vidal postąpił kilka kroków naprzód, ażeby rozmówić się z naczelnikiem straży, potem krzyknęła do nas:

— Możecie wejść!

Bębny nasze zagrzmiały, ale kapitan kazał je zawiesić znów na ramiona. Weszliśmy przez wielki most i drugą bramę, podobną do pierwszej. Znaleźliśmy się w mieście, wybrukowanem świecącymi kamykami.

Każdy robił, co mógł, żeby nie kuleć, bo, pomimo nocy, wszystkie oberże, wszystkie sklepy były otwarte; wielkie ich okna jaśniały światłem, a setki ludzi krążyły po ulicach, jak w biały dzień.

Przeszedłszy pięć czy sześć ulic, stanęliśmy na placu, przed wysokimi koszarami, gdzie zawołano:

— Stój!

Do koszar prowadziła brama sklepiona; pod tem sklepieniem siedziała markietanka, pod wielkim trójkolorowym parasolem, przy którym wisały dwie latarnie.

Niezwłocznie zjawiło się kilku oficerów, a pomiędzy nimi komendant Gémeau. Śmiejąc się, przywitali naszego kapitana, popatrzyli na nas i rozpoczął się apel. Następnie każdy z nas dostał bochenek chleba i palet kwaterunkowy. Zapowiedziano, że nazajutrz o godzinie ósmej, rozdadzą nam broń i zakomenderowano:

— Rozejść się!

Oficerowie zwrócili się w ulicę na lewo i razem weszli do wielkiej kawiarni, do której prowadziło kilkanaście stopni, a my zostaliśmy na ulicy, nie wiedząc, gdzie się obrócić w tem wielkiem mieście. Włosi zwłaszcza, którzy ani jednego słowa nie rozumieli po francusku ani po niemiecku, znaleźli się w kłopotcie.

Przyszło mi na myśl udać się do markietanki, siedzącej pod parasolem. Była to stara Alzatka, okrągła i pucłowata. Kiedy pytałem ją, gdzie się znajduje *Kapuzigner Strasse*, gdzie miałem wyznaczoną kwaterę, ona nawzajem zapytała mnie:

— Co płacisz?

Musiałem wypić u niej kieliszek wódki, poczem rzekła:

— Idź wprost przed siebie, potem skreć na prawo, a znajdziesz *Kapuzigner Strasse*. Dobrej nocy, rekrucie.

I rozśmiała się.

Wielki Furst i Zébédé mieli także palety na *Kapuzigner Strasse*; poszliśmy tedy, radzi, żeśmy mogli przynajmniej razem kuleć w tem obcym mieście.

Furst pierwszy odnalazł swój dom; ale był on zamknięty; podczas, kiedy stukał do drzwi, ja znalazłem mój, w którego oknach świeciło się jeszcze. Popchnąłem drzwi, otwarły się i wszedłem do ciemnej sieni, gdzie czuć było zapach świeżego chleba,

co mi sprawiało przyjemność. Zébédé poszedł dalej. Ja krzyknąłem w sieni:

— Jest tam kto?!

W tej chwili nad schodami drewnianemi ukazała się stara kobieta, zastaniająca świecę ręką.

— Czego chcecie? — zapytała.

Powiedziałem jej, że mam palet na kwaterę u nich.

Zeszła na dół, popatrzyła na palet, następnie rzekła po niemiecku:

— Chodźcie!

Wszedłem więc na schody.

Przechodząc, ujrzałem przez drzwi otwarte na dole ludzi w spodniach, nagich aż po pas, którzy mieszały ciasto w dwóch dzieżach. Byłem u piekara i dlatego stara nie spała jeszcze, mając zapewne także coś do roboty. Miała ona na głowie czepek z czarnemi wstążkami, ręce obnażone aż po łokcie i grubą spodnicę z wełny niebieskiej, podtrzymowaną szelkami; zdawała się być smutną. Na górze zaprowadziła mię do pokoju dosyć wielkiego, w którym znajdował się duży kaflowy piec i łóżko w głębi.

— Przychodzicie późno — rzekła do mnie.

— Tak, szliśmy przez cały dzień — odparłem. — Umieram ze znużenia i z głodu.

Popatrzała na mnie wówczas i słyszałem, jak szepnęła z politowaniem:

— Biedne dziecko! Biedne dziecko!
Potem wskazała mi miejsce przy piecu i zapytała:

— Nogi was bolą?
— Bardzo... od trzech dni już.
— No, to zdejmijcie trzewiki i włóżcie te saboty. Ja zaraz powrócę.

Postawiła świecę na stole i wyszła.

Zdjąłem tornister i trzewiki, a wtedy zobaczyłem, że na nogach mam pęcherze. Pomyślałem sobie:

— Mój Boże... mój Boże... czy można cierpieć więcej? Czy nie lepiej byłoby umrzeć?

Myśl ta przychodziła mi ze sto razy w drodze, ale teraz, siedząc przy dobrym ogniu, czułem się tak znużonym, tak nieszczęśliwym, że pragnąłem zasnąć na zawsze, bez względu na Katarzynę, ciotkę Grédel, pana Gulden i wszystkich tych, którzy mi dobrze życzyli. Doprawdy, czułem się bardzo nieszczęśliwym!

Kiedy tak rozmyślałem, drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna wysoki, barczysty, z głową już osiwiałą. Był to jeden z tych, których widziałem pracujących na dole. Teraz miał już koszulę, a w rękach trzymał dzbanek i dwie szklanki.

— Dobry wieczór! — rzekł, patrząc na mnie poważnie.

Pochyliłem głowę.

Stara weszła za mężczyzną; niosła drewniany

cebrzyk i stawiając go na ziemi przed mojem krzesłem, rzekła:

— Wymoczcie nogi, to wam ulgę sprawi.
Uczułem się rozrzewnionym ich dobrocią i pomyślałem:

— Są jednak poczciwi ludzie na świecie!

Zdjąłem pończochy. Pęcherze były pościerane i krew z nich ciekła, co widząc, poczciwa staruszka powtórzyła znowu:

— Biedne dziecię! Biedne dziecię!

Mężczyzna zapytał:

— Z jakiego kraju jesteście?

— Z Phalsburga w Lotaryngii.

— Ah! tak — mruknął.

Po chwili odezwał się do żony:

— Idź przynieś jeden z placków. Ten młodzieniec wypije szklankę wina, posili się, a potem zostawimy go samego, niech zaśnie spokojnie. Potrzebuje spoczynku.

Przysunął stół do mnie tak, że mogłem jeść, trzymając nogi w wodzie, co mi znaczną ulgę przynosiło, przede mną postawił dzbanek i szklanki, które napenił dobrem winem białym, następnie, trącając swoją szklankę o moją, rzekł:

— Zdrowie wasze!

Kobieta wyszła i po chwili wróciła z wielkim plackiem, tak ciepłym jeszcze, że pokrywające go masło niezupełnie się stopiło. Teraz dopiero po-

czułem, jak bardzo byłem głodny; zrobiło mi się prawie słabo. Dobrzy ci ludzie musieli to spostrzedz, bo kobieta rzekła do mnie:

— Zanim jeść zaczniesz, moje dziecko, trzeba, żebyś wyjął nogi z wody.

Schyliła się i fartuchem swoim otarła mi stopy, zanim zrozumiałem, co chciała zrobić.

Zawołałem wówczas:

— Mój Boże, jesteś pani dla mnie tak dobrą, jak dla dziecka swego!

Po chwili milczenia odpowiedziała:

— Mamy syna w wojsku.

Kiedy to mówiła, słyszałem, że głos jej drżał, a mnie się serce ścisnęło, gdyż przypomniałem sobie Katarzynę, ciotkę Grédel i nie mogłem nic odpowiedzieć.

— Jedzcie i pijcie — rzekł piekarz, krając placek.

Uśluchałem skwapliwie i z przyjemnością, jakiej dotąd nie doznawałem. Starzy patrzyli na mnie poważnie. Kiedy skończyłem, mężczyzna powstał:

— Tak — rzekł, wzdychając — mamy syna w wojsku; w przeszłym roku wyruszył do Rosyi i od tam nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości... Straszne są te wojny!

Mówił do siebie, chodząc po pokoju zamyślony, z rękami w tył założonemi. Ja czułem, że mi się oczy zamykają.

Nagle piekarz rzekł:

— Idźmy, dobrej nocy.

Wyszedł, a za nim żona jego wyniosła cebrzyk.

— Dziękuję! — zawołałem za nimi. — Niech wam Bóg wróci syna!



IX

Nazajutrz obudziłem się około godziny ósmej.

Na rogu *Kapuzigner Strasse*, trębacz zwoływał na apel; wszystko było w ruchu; słychać było stuk kopyt, turkot wozów i wrzawę ludzi. Nogi bolały mię jeszcze cokolwiek, ale było to niczem w porównaniu z bolem, jakiego doznawałem w dni ubiegłe. Kiedy włożyłem czyste pończochy, zdawało mi się, że się odrodziłem; czułem się mocny w nogach i mówiłem do siebie:

— Józefie, jeżeli tak dalej pójdzie, będziesz zuchem; pierwszy krok tylko trudny.

W dobrem usposobieniu ubierałem się.

Żona piekarza postawiła trzewiki moje przy piecu, żeby wyschły, napełniwszy je uprzednio ciepłym popiołem, co chroniło skórę od stwardnienia. Były dobrze tłuszczem wysmarowane i świejące.

Nakoniec zapiąłem tornister i zeszedłem na dół, nie mając nawet czasu podziękować poczciwym

ludziom, którzy mię tak serdecznie przyjęli; sądziłem, że będę mógł spełnić ten obowiązek po apelu.

Przy końcu ulicy, na placu, wielu naszych Włochów czekało już koło wodotrysku, drżąc z zimna. Furst, Klipfel i Zébédé nadeszli w chwilę potem.

Po jednej stronie placu widać było działa, ustawione na lawetach. Huzarzy badeńscy przyprowadzali konie do pojenia, między nimi znajdowało się kilku żołnierzy z piechoty i dragonów.

Naprzeciwno nas stały koszary kawaleryjskie, wysokie, jak kościół w Phalsburgu; z trzech pozostałych stron placu, wznosiły się stare, śpiczasto zakończone, snycerską robotą ozdobione domy, jak w Saverne, tylko daleko większe. Nigdy nie widziałem nic podobnego.

Kiedy tak, z nosem do góry zadartym, przypatrywałem się wszystkiemu, nasze bębny poczęły grzmieć. Każdy stanął w swoim szeregu. Nadszedł kapitan Vidal, z płaszczem na ramieniu. Z pod sklepionej bramy, znajdującej się naprzeciwno, wytoczyły się wozy, a jednocześnie ogłoszono, najprzód po włosku, następnie po francusku, że będą rozdawać broń i że każdy z nas ma wyjść z szeregu, uszawszy swoje nazwisko.

Wozy zatrzymały się o dziesięć kroków i rozpoczął się apel.

Każdy z nas po kolei wychodził z szeregów, otrzymywał ładownicę, szablę, bagnet i karabin. Zawieszano sobie tę broń na bluzie, na surducie lub kaftanie, gdzie kto mógł; teraz w najrozmaitszych

kapeluszach, kaszkietach i z bronią, wyglądaliśmy jak prawdziwa banda rozbójników. Mnie dostał się karabin tak wielki i tak ciężki, że ledwie mogłem go udźwignąć, ładownica spadała mi prawie na tydki, tak, że sierżant Pinto pokazał mi, jak skrócić rzemyki. Był to dobry człowiek.

Wszystkie te pasy, krzyżujące się na piersiach, dokuczały mi strasznie; przekonałem się wówczas, że utrapienia nasze nie skończyły się jeszcze.

Po rozdaniu broni, zbliżył się furgon. Znajdowały się na nim naboje, których każdy z nas otrzymał pięćdziesiąt, co nic dobrego nie wróżyło. Potem zamiast kazać nam rozejść się do domów, jak się spodziewałem, kapitan Vidal obnażył szpadę i zakomenderował:

— Szeregiem na prawo... naprzód... marsz!...

Bębny zaczęły znów warczeć.

Przykro mi bardzo było, że nie mogłem podziękować moim gospodarzom za serdeczne przyjęcie, jakiego od nich doznałem. Mówiłem sobie:

— Będą cię uważali za niewdzięcznika!

Ale to nie przeszkadzało mi iść w szeregu.

Szliśmy długą, krętą ulicą i nagle, po za pochyłością szaniców, znaleźliśmy się nad Renem, który, jak okiem sięgnąć, pokryty był lodem. Był to widok wspaniały i olśniewający zarazem.

Cały batalion przeszedł Ren po lodzie. Nie sami tylko byliśmy na rzece: przed nami, na pięćset lub sześćset kroków, wozy z prochem, konwojowane przez żołnierzy, posuwały się drogą do Frankfurtu. Łód nie

był ślizki, pokrywał go bowiem rodzaj chropowatego szronu.

Kiedyśmy stanęli na drugim brzegu, kazano nam maszerować drogą, wijącą się między dwoma wzgórzami.

Szliśmy tak przez pięć godzin. Raz po prawej stronie, drugi raz po lewej, ukazywały się nam wsie i Zébédé, który szedł obok mnie, mówił:

— Ponieważ trzeba było iść, to już wolę, że idziemy na wojnę. Codziennie przynajmniej widziemy coś nowego. Jeżeli los pozwoli nam wrócić, to będziemy mieli o czym opowiadać.

— Tak, ale jabyłem wolał mniej widzieć — odrzekłem; — wolałbym żyć na mój własny rachunek, aniżeli na rachunek innych, którzy spokojnie siedzą u siebie, podczas, gdy my brniemy po śniegu.

— Ty nie dbasz o sławę — strofował mnie Zébédé — a sława przecie coś znaczy!

Odparłem na to:

— Sława jest dla innych, mój Zébédé, a nie dla nas; tamci żyją dobrze, dobrze jedzą i śpią dobrze. Dla nich są tańce i przyjemności, jak widzimy to z gazet, a nadto dla nich jest sława, którą my zdobywamy potem naszym, postem i skórą. Takim, jak my, biedakom, których siłą biorą do woj-ska, niewiele zostaje sławy, kiedy wracają nakoniec do domów, odzwyczajwszy się od pracy, a czasem straciwszy jaki członek w boju. Dawni ich koledzy, którzy niewięcej od nich warci byli i którzy nawet mniej pracowali, zarabiali przez te siedm lat pie-

niądze, otwierali sklepy, żenili się z ukochanymi innych, mieli piękne dzieci, zostawali poważnymi ludźmi, radcami municypalnymi, znacznymi obywatelami. A kiedy ci, którzy szukali sławy, zabijając ludzi, wracają nareszcie z galonami na ramionach, tamci patrzą na nich z lekceważeniem. Jeżeli zaś, na nieszczęście, który z nich ma w dodatku nos czerwony, bo musiał pić wódkę dla dodania sobie odwagi i siły wśród deszczu, śniegu, forsownych marszów, podczas, gdy tamci pili dobre wino, mówią o nim: — To pijak! — I tak rekruci, którzy nie pragnęli nic więcej, jak pozostać w domu i pracować, stają się rodzajem żebraków. Oto co ja myślę, Zébédé. Tak, tak, nie znajduję, żeby to było zupełnie sprawiedliwym i wołałbym, aby zwolennicy sławy sami szli bić się, a nas zostawili w spokoju.

On rzekł na to:

— I ja tak samo, jak ty, myślę; ale ponieważ *złapano* nas, lepiej już zatem mówić, że to dla sławy. Trzeba zawsze podtrzymywać swój honor i starać się o to, by ludzie mniemali, że dobrze nam jest; bo inaczej, Józefie, gotowi drwić z nas.

Tak rozmawiając o tem i owem, ujrzelśmy na koniec wielką rzekę, a sierżant powiedział nam, że to Men. Nad tą rzeką leżała duża wioska przy drodze. Nie znaliśmy nazwy tej wioski, ale tam zatrzymaliśmy się na odpoczynek.

Weszliśmy do domów, gdzie każdy z nas mógł kupić sobie wódki, wina i mięsa.

Ci, którzy nie mieli pieniędzy, jedli czerstwy swój chleb, patrząc na innych.

Wieczorem, około godziny piątej, przybyliśmy do Frankfurtu. Jest to miasto starożytniejsze jeszcze od Moguncyi i pełne Żydów. Zaprowadzono nas na miejsce, zwane Saksenhausen, gdzie stali strzelcy badeńscy i 10-ty pułk huzarów. Mówiono mi, że stary ten gmach był niegdyś szpitalem i wierzę temu bardzo, bo wewnątrz jego znajdował się wielki dziedzińiec, z murowanymi arkadami; pod arkadami stały konie, a nad nimi mieszkali ludzie.

Przybyliśmy zatem na to miejsce, przeszedłszy niezliczoną moc uliczek tak ciasnych, że między kominami zaledwie dojrzeć można było gwiazdy. Kapitan Florentin i dwaj porucznicy, Klawel i Bretonville, czekali już na nas. Po apelu, sierżanci zaprowadzili nas oddziałami do kwater, znajdujących się po nad Badeńczykami. Były to wielkie sale z małymi oknami; pomiędzy oknami stały łóżka.

Sierżant Pinto zawiesił latarnię swoją u środkowego słupa; złożono broń w kozły, potem ani słowa nie mówiąc, każdy zdjął swój tornister, swoją bluzę i trzewiki.

Zébédé miał spać ze mną. Bogu tylko wiadomo, jak potrzebowaaliśmy snu. W dwadzieścia minut potem, spaliśmy, jak kamienie.

X

W Frankfurcie poznałem życie wojskowe.

Dotąd byłem tylko rekrutem, tam zostałem żołnierzem.

Nie mam tu na myśli ćwiczeń wojskowych, nie! Kierować oczy na prawo i na lewo, iść w ślad jeden za drugim, podnosić rękę do wysokości pierwszej lub drugiej obrączki przy nabijaniu karabina, brać na cel i podnosić broń na rozkaz, — tego wszystkiego nauczyć się można w przeciągu jednego lub dwóch miesięcy przy dobrej woli. Ale wyuczyłem się karności, to jest: że kapral zawsze ma słusność, kiedy mówi do żołnierza, sierżant, kiedy mówi do kaprała, feldfebel, kiedy mówi do sierżanta, podporucznik do feldfebla i tak dalej, aż do marszałka Francyi, — chociażby mówili, że dwa a dwa pięć, albo, że księżyc świeci w samo południe.

Trudno to wbić sobie w głowę, ale jest coś, co ci do tego dopomaga: jest to rodzaj afisza, przy-

bitego w kwaterach, który od czasu do czasu odczytują dla rozjaśnienia ci w głowie. Afisz ten przypuszcza wszystko to, co żołnierz może mieć ochotę zrobić, na przykład: wrócić do wsi swojej, nie chcieć służyć, odmówić posłuszeństwa zwierzchnikowi swemu i t. d. — a kończy się to zawsze śmiercią lub pięciu latami ciężkich robót przynajmniej.

Nazajutrz po przybyciu do Frankfurtu, napisałem do pana Gulden, do Katarzyny i do ciotki Grédel; można sobie wyobrazić, z jakim rozrzewnieniem. Pisząc do nich, zdawało mi się, że jestem z nimi; opowiadałem im, jak byłem znużony, jakiej uprzejmości doznałem w Moguncyi, jakiej odwagi potrzebowałem, by nie zostać w tyle. Napisałem im także, iż dzięki Bogu, dotąd zdrow jestem; że czuję się silniejszym, niż przed wyjazdem z domu i że całuję ich po tysiąc i tysiąc razy.

Pisałem w kwaterze naszej, wśród kolegów i wszyscy phalsbureczycy przesyłali przeze mnie ukłony rodzinom swoim. Jednym słowem, była to jeszcze przyjemna chwila.

Potem napisałem do Moguncyi, do poczciwych ludzi na *Kapuzigner Strasse*, którzy niejako uratowali mnie w nieszczęściu mojem. Objąsniałem ich, że z powodu apelu, musiałem wyjść z rana; że spodziewałem się zobaczyć się jeszcze z nimi i podziękować, ale batalion wyruszył zaraz do Frankfurtu, zatem muszą mi to przebaczyć.

Tegoż dnia po południu, otrzymaliśmy pułkowe ubranie. Żydzi tuzinami zbiegli się aż pod arkady

i każdy z nas sprzedał im swoje ubranie. Zachowałem tylko moje koszule, pończochy i trzewiki. Włosi wielką mieli przytem trudność, nie mogli bowiem porozumieć się z handlarzami, którzy chcieli wziąć wszystko za darmo; ale genuieńczycy równie byli przebiegli, jak Żydzi i spory między nimi przeciągnęły się aż do nocy.

Kaprale nasi nie jedną przytem wychylili szklanę; trzeba było usposobić ich przyjacielsko dla siebie, bo rano i wieczór mustrowali nas na dziedzińcu, śniegiem pokrytym.

Markietanka Krystyna zawsze siedziała w kącie swoim, z fajerką pod nogami. Okazywała ona poważanie dla młodych ludzi z dobrej familii, jak nazywała tych, co nie oszczędzali grosza. Iluż z pomiędzy nas dawało wyłudzić od siebie, aż do ostatniego szeląga, dla tej nazwy „młodzieńca z dobrej familii“! Potem stawali się hołyszami.... Ale cóż chcecie? Próżność... próżność... Gubi ona cały rodzaj ludzki, od rekrutów, aż do generałów.

Przez cały ten czas codziennie przybywali rekruci z Francji i wozy pełne rannych z Polski. Jaki widok przed szpitalem Świętego Ducha, po drugiej stronie rzeki! Był to konwój nieskończony. Wszyscy ci nieszczęśliwi mieli to odmrożone nogi, to uszy, to ręce; kładziono ich w śnieg, by się nie rozpadli w kawały. Nie można było nędzniej się ubrać: w kobiecych spodnicach, w czapkach z sierścią wyskubaną, w zniszczonych kaszkietach, w kurtkach kozackich, w chustkach i koszulach, okręconych koło nóg; wy-

chodzili z wozów, czepiając się, jak mogli i jak dziekie zwierzęta, patrzyli na ludzi, z oczami głęboko wpadłemi i z najeżonymi włosami. Cyganie, co sypiają po lasach, litowaliby się nad nimi, a jednak byli to jeszcze najszczęśliwsi, uszli bowiem z rzezi, podczas, gdy tysiące kolegów ich zginęło w śniegach, albo na polu bitwy.

Klipfel, Zébédé, Furst i ja odwiedzaliśmy tych nieszczęśliwych; opowiadali nam oni cały przebieg klęski, począwszy od Moskwy i przekonałem się wówczas, że 29-ty biuletyn, tak straszny, prawdę powiedział.

Opowieści te podbudzały nas przeciw Rosyanom; niektórzy mówili:

— Ha! niech tylko wojna rozpocznie się na nowo, zobaczą oni teraz... To jeszcze nie koniec... To jeszcze nie koniec...

Zawziętość ich mnie samemu zaczęła się udzielać, lecz czasami myślałem:

— Józefie, czy i ty tracisz już teraz głowę? Rosyanie bronili kraju swego, swoich rodzin, wszystkiego, co ludzie mają najświętszego na świecie. Gdyby nie bronili, wówczas słusznie zasłużyliby na pogardę!

W tym czasie zdarzyło się coś nadzwyczajnego.

Trzeba wiedzieć, że Zébédé, mój towarzysz terazniejszy łóżka, był synem grabarza w Phalsburgu i że pomiędzy sobą nazywaliśmy go czasem: Grabarzem. Nie obrażał się za to na nas; od swoich blizkich wiele się przyjmuje. Ale, pewnego wieczora,

po mustrach, kiedy przechodził przez dziedziniec, huzar jeden woła na niego:

— Hola! Grabarzu, pomóżcie mi zanieść te snopy słomy.

Zébédé odwrócił się na to i rzekł:

— Nie nazywam się Grabarzem, a wy sami nieście wasze snopy słomy! Czy uważacie mnie za bydlę robocze?

Wówczas tamten głośniej jeszcze krzyknął:

— Rekrucie, pójdź tutaj natychmiast, albo strzeż się!

Zébédé ze swym wielkim, zakrzywionym nosem, z szaremi oczkami i wązkiemi ustami, nie odznaczał się łagodnością charakteru. Zbliżył się do huzara i zapytał z flegmą:

— Co mówicie?

— Mówię, żebyś poniósł te snopy słomy i to prędko! Słyszysz, rekrucie? — odparł tamten rozkazująco.

Był to stary żołnierz, z wąsami i faworytami rudemi, podstrzyżonemi jak szczotka, à la Chambran.

Zébédé chwycił go za jeden z faworytów; ale huzar wyciął mu nagle dwa potężne policzki. Pomimo to, garść faworytów została w ręku Zébédégo.

Kłótnia ta zwabiła wielu ludzi, a huzar, podniósłszy palec do góry, rzekł do Zébédégo groźnie:

— Rekrucie, jutro rano usłyszysz o mnie!

— Dobrze — syknął Zébédé — zobaczymy. Wy także o mnie usłyszycie, stary!

Zaraz przyszedł opowiedzieć mi to zajście, a ja wiedząc o tem, że oprócz motyki, nigdy dotąd nie miał żadnej innej broni w ręku, zacząłem się mocno obawiać o niego.

— Słuchaj Zébédé, — rzekłem — ponieważ nie możesz dezertować, nie ci zatem nie pozostaje, jak przeprosić... tego starego... Wszyscy ci starzy rąbią się okrutnie; wyuczili się tego w Egipcie, Hiszpanii i wielu innych wojnach. Wierzaj mi. Jeżeli chcesz, pożyczę ci talara; postawisz mu butelkę, to go ujmie.

Ale on nie chciał słyszeć o żadnem pojednaniu. Nasrożył się, brwi zmarszczył i odparł:

— Wolałbym się obwiesić, aniżeli przeproszać. Kpię sobie ze wszystkich huzarów! Jeżeli oni rąbią sprawnie, ja za to mam długą, silną rękę, a szabla moja tnie również nie na żarty i trafi do jego kości, jak jego do mego ciała.

Czuł jeszcze otrzymane policzki.

Niebawem zjawili się: fehmistrz Chary, kapral Fleury, Klipfel, Furst i Léger. Wszyscy przyznawali słuszność Zébédému, a fehmistrz powiedział, że trzeba koniecznie krwi dla obmycia policzków i że honor rekrutów wymaga, ażeby się bili.

Zébédé odpowiedział, że phalsburczycy nigdy się nie bali szabli i że on jest gotów.

Fehmistrz poszedł wówczas do kapitana kompanii, Florentina, najpiękniejszego mężczyzny, jakiego sobie wyobrazić można, wysokiego, szerokiego

w ramionach, z twarzą sympatyczną, na której jaśniał wyraz nieustraszonej waleczności. Otrzymał on Legię z rąk samego cesarza, za bitwę pod Eylau.

Kapitan przyznał, że policzek wymaga krwi; dodał jeszcze, iż będzie to dobrym przykładem dla rekrutów i że jeśliby Zébédé obrazę puścił płazem, to nie godzien byłby pozostać w 3-im batalionie 6-go pułku.

Przez całą noc nie mogłem zmrużyć oka; słyshałem, jak towarzysz mój chrapał i myślałem:

— Biedny Zébédé, nie będziesz ty już jutro chrapał.

Drżałem na myśl, że leżałem przy takim człowieku.

Zasnąłem dopiero nadedniem, lecz już po chwili uczułem ogarniający mnie chłód. Otwieram oczy i cóż widzę? Starego, rudego huzara, który ściągnął kołdrę z łóżka naszego i wołał:

— No, wstawaj, leniwcze! Muszę cię przekonać, z jakiego jestem ciasta.

Zébédé wstał spokojnie i odpowiedział:

— Spałem, weteranie, spałem smacznie, a to przecież nie grzech.

Tamten usłyszawszy, że go nazywa weteranem, chciał się rzucić na niego; ale dwa ogromne draby, którzy mu służyli za świadków, wstrzymali go; zresztą wszyscy phalsburczycy byli tam także.

— No... no... śpieszmy się!... — wołał stary, tupiąc nogą.

Ale Zébédé ubierał się powoli.

Po chwili zapytał:

— Czy pozwolą nam wyjść z koszar?

— Za aresztem jest miejsce, gdzie będziecie mogli się rozprawić — odpowiedział jeden z huzarów.

Było to miejsce pełne pokrzyw i gruzu. Mur otaczał je dokoła, lecz z naszych okien dobrze je widzieć można było; znajdowało się tuż na dole, od strony rzeki.

Zébédé włożył swój surdut i zwracając się w moją stronę, rzekł:

— Józefie i ty, Klipfelu, biorę was na świadków.

Ale ja potrząsałem głową przecząco.

— Więc ty, Fursiu, uczyni mi tę przysługę... — odezwał się Zébédé.

Tamten się zgodził: wszyscy razem zeszli ze schodów.

Zdawało mi się, że Zébédé zgubiony; martwiło mnie to mocno i myślałem sobie:

— Niedosyć, że Rosyanie i Niemcy nas mordują, trzeba jeszcze, żeby i swoi to robili.

Wszyscy nasi stali w kwaterze u okien; ja tylko jeden siedziałem na mojem łóżku.

W pięć minut potem struchlałem cały, usłyszawszy szcęk pałaszów na dole; ani kropli krwi nie było w żyłach moich.

Nie trwało to długo; po chwili Klipfel zawołał:
— Dostał!

Nie wiem, jakim sposobem znalazłem się wówczas przy oknie i patrząc poprzez głowy innych, ujrzałem huzara, opartego o mur i Zébédégo, który podnosił się z ziemi, z szablą zbroszoną krwią.

W czasie walki pośliznął się i upadł na kolana; szabla starego przeszła po nad jego ramieniem, a on, nie tracąc sekundy, płałnął swoją huzara w brzuch. Gdyby, na swoje szczęście, nie pośliznął się, stary z pewnością zadałby mu cios śmiertelny.

Oto co ujrzałem na dole:

Huzar stał przy murze nachylony, chwiejąc się na nogach, świadkowie podtrzymywali go pod rękę, a Zébédé, blady jak śmierć, patrzył na swoją szablę, podczas gdy Klipfel podawał mu jego surdut.

W tej chwili uderzono pobudkę ranną i zeszlismy na dół na apel.

Działo się to 18 lutego.

Tegoż dnia otrzymaliśmy rozkaz spakowania tornistrów naszych i wyruszyliśmy z Frankfurtu do Siligenstadtu, gdzie pozostaliśmy aż do 8 marca. Wtenczas już wszyscy rekruci umieli robić broń i znali szkołę plutonu.

Z Sélegenstadtu wyszliśmy 9 marca do Schweinheimu, a 24 marca 1813 roku batalion połączył się z dywizją w Aschaffenburgu, gdzie marszałek Ney odbył przegląd kompanii.

Kapitan nasz nazywał się Florentin; porucznik Bretonville; komendant batalionu Gemeau; kapitan adiutant Vidal; pułkownik Zapfel; generał brygady Ladoncette; generał dywizji Souham. Każdy żołnierz powinien wiedzieć to, jeżeli nie chce chodzić na oślepa.

XI.

Śniegi topnieć zaczęły 18 czy 19 marca.

Pamiętam, że podczas wielkiej rewii w Aschaffenburgu, na szerokiej płaszczyźnie, z której, jak okiem sięgnąć, widać było Men, deszcz padał nieustannie od dziesiątej godziny rano do trzeciej po południu. Na lewo mieliśmy zamek, z którego wysokich okien ludzie przypatrywali się nam wygodnie, podczas gdy woda ściekała nam do trzewików. Na prawo płynęła rzeka, którą widać było po przez mgłę.

Ażeby utrzymać nas w czujności, co chwilę komenderowano:

— Prezentuj broń! Broń na ramię!

Marszałek, otoczony sztabem swoim, posuwał się powoli. Zébédé cieszył się, że ujrzymy najwaleczniejszego z walecznych. Ja myślałem sobie:

— Gdybym go mógł widzieć jako prywatnego człowieka, toby mi zrobiło większą przyjemność.

Nakoniec zatrzymał się przed nami.

Widzę go jeszcze w jego wielkim kapeluszu, zmoczonym deszczem, w niebieskim mundurze, pokrytym haftem złotym i w wielkich butach. Był to piękny mężczyzna, rudy blondyn, z nosem zadartym i z żywymi oczyma. Zdawał się być bardzo stanowczym. Ale nie był dumny, bo kiedy przejeżdżał przed kompanią i kapitan prezentował broń przed nim, nagle odwrócił się na swym rosłym koniu i rzekł głośno:

— Patrzcie, to Florentin!

Na to kapitan wyprostował się, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć.

Zdaje się, że marszałek i on służyli razem, jako prości żołnierze, jeszcze za czasów Rzeczypospolitej.

Nakoniec kapitan odparł:

— Tak, marszałku, Sebastyan Florentin.

— Na honor, Florentinie — rzekł marszałek — rad jestem, że cię spotykam. Sądziłem, żeś poległ tam.

I wyciągnął rękę w stronę Rosyi.

Cała kompania nasza była zadowolona, a Zébédé szepnął do mnie:

— Oto co się nazywa człowiek; dałbym się porąbać dla niego!

Nie rozumiałem, dlaczego Zébédé gotów był dać się porąbać... Czy dlatego, że marszałek przywitał się ze swym dawnym kolegą?

To wszystkie moje wspomnienia z Aschaffenburga.

Wieczorem wróciliśmy do Shweinheimu, miej-

scowości obfitującej w wino, konopie i zboże; wszyscy patrzyli tam na nas z ukosa.

Mieszkaliśmy po trzech lub czterech w jednej kwaterze, tak samo, jak garnizonowi; codzień mieliśmy mięso: wołowinę, słoninę lub baraninę. Dawano nam chleb bardzo dobry, wino także. Niektórzy z naszych udawali, że nic im nie smakuje, sądząc, że tym sposobem uchodzą będą za wielkich panów; ale mylili się bardzo, bo słyszałem, jak mieszczanie mówili do siebie po niemiecku:

— Ci w swoim kraju są żebrakami! Gdyby pójść do Francyi, toby kartofli nawet nie znaleziono w ich piwnicy.

Była to prawda. Przekonałem się nawet w dal- szym życiu, że ci, co są tak wybredni u innych, u siebie muszą przestawać na bardzo skromnem.

Co do mnie, byłem rad, że mnie tak żywiono i pragnąłem, żeby to trwało przez całą kampanię.

Dwaj rekruci z Saint-Dié stali razem ze mną u właściciela poczty, którego wszystkie prawie konie zabrano do naszej kawaleryi. Nie mogło go to wprowadzić w dobry humor, ale nie mówił nic i od rana do wieczora palił fajkę za piecem. Żona jego była wysoka i otyła, a dwie córki bardzo ładne. Bały się one nas bardzo i uciekały, jak tylko spostrzegły nas wracających z mustry lub z warty na drugim końcu wsi.

Wieczorem czwartego dnia, kiedyśmy kończyli wieszcząć, około godziny siódmej, przyszedł starzec jakiś w czarnym surducie; miał głowę siwą i fizyo-

gnomię wzbudzającą szacunek. Pozdrowił nas, potem przemówił po niemiecku do właściciela poczty:

— Czy to nowi rekruci?

— Tak, panie Slenger — odpowiedział tamten — nie pozbedziemy się chyba nigdy tych ludzi. Gdybym mógł wytruć ich wszystkich, toby się prędzej nasze klęski skończyły.

Na to odwróciłem się do nich i rzekłem spokojnie:

— Rozumiem po niemiecku... nie mówcie takich rzeczy.

Właściciel poczty przeraził się, wielka jego fajka wypadła mu z rąk.

— Bardzoś nieostrożny w słowach, panie Kalkreuth! — zauważył starzec; — pomyślcie, co by się z wami stało, gdyby nie ten młodzieniec, ale kto inny was usłyszał...

— To tylko się tak mówi — bąknął grubas zmieszany.—Cóż chcecie? Skoro zabierają ci wszystko; skoro przez całe lata obdzierają cię niemal ze skóry, to człowiek nie wie nakoniec co ma mówić i gada bez sensu.

Starzec ów był to pastor Schweinheimu, zbliżył się do mnie i rzekł:

— Postąpiłeś pan, jak uczciwy człowiek. Proszę wierzyć, że pan Kalkreuth niezdolny jest skrzywdzić nikogo, nawet nieprzyjaciół naszych.

— Wierzę temu, panie — odpowiedziałem — inaczej nie jadłbym z takim apetytem jego kiełbas.

Usłyszawszy to, właściciel poczty począł się śmiać, wielkimi swemi rękami trzymając się za brzuch i zawołał:

— Nigdy nie przypuszczał, żeby Francuz mógł mnie rozśmieszyć!

Moi dwaj koledzy udali się na wartę, byłem tedy sam w domu. Właściciel poczty przyniósł butelkę starego wina i prosił, żebyśmy wypili ją razem, na co przystałem chętnie. Odtąd aż do naszego wyjazdu, ludzie ci okazywali mi wiele zaufania. Co wieczór rozmawialiśmy z sobą przy kominku; przychodził pastor i młode dziewczęta nawet słuchały naszej rozmowy. Były to blondynki z niebieskimi oczami, jedna mogła mieć lat ośmnaście, druga dwadzieścia; upatrywałem w nich pewne podobieństwo do Katarzyny, co mnie do pewnego stopnia wzruszało.

Wiedziano o tem, że zostawiłem w kraju ukochaną, bo nie mogłem się wstrzymać od zwierzeń, a wiadomość ta zjednała mi jeszcze większą sympatyę tej rodziny.

Właściciel poczty gorzko się skarżył na Francuzów; pastor mówił, że jesteśmy narodem chełpliwym i rozpustnym, że z tego powodu całe Niemcy powstaną wkrótce przeciw nam; mówił też, że złe obyczaje żołnierzy naszych i chciwość jenerałów dokuczyły im już i że utworzono przeciwko nam *Tugendbund* *).

Pewnego razu obszerniej się w tej sprawie rozgadał. Oto jego słowa:

— W ostatnich czasach, mówiliście nam o wolności. Lubiliśmy słyszeć o tem i życzliwość nasza była raczej po waszej stronie, aniżeli po stronie króla pruskiego i cesarza austriackiego. Prowadziliście zresztą wojnę z naszymi żołnierzami a nie z nami samymi; rozpowszechnialiście idee, które wszystkim wydawały się sprawiedliwemi i wielkimi, dlatego nie mieliście do czynienia z ludami, ale z ich władcami. Dziś postać rzeczy się zmieniła: całe Niemcy pójdą przeciw wam, cała młodzież powstanie i teraz my będziemy mówili Francji o wolności, o cnocie, o sprawiedliwości. Ten, kto o tem mówi, zawsze jest silniejszym, bo ma przeciwko sobie wszędzie tylko złych ludzi, za sobą zaś ma zawsze młodość, odwagę wielkich idei; wszystko to bowiem podnosi duszę nad poziom egoizmu i pozwala bez zalu nieść życie w ofierze. Długi czas było to waszym udziałem, ale zrzekliście się tego sami. Jenerałowie wasi w owych czasach, pamiętam, bili się za wolność i spali na słomie w stodołach, jak prości żołnierze. Byli to straszni ludzie! Teraz potrzebują kanap, są większymi arystokratami, niż nasi arystokraci i bogatsi niż nasi bankierowie. Wobec tego wojna, najpiękniejsza rzecz niegdyś, — sztuka, ofiara, poświęcenie się za Ojczyznę, zamieniła się w rzemiosło, które przynosi więcej niż sklep. Wydaje się ono jeszcze bardzo szlachetnem, ponieważ nosi się przy-

*) Związek cnoty.

tem szlify; co innego jednak bić się za wieczne idee, a co innego dla wzbogacenia swego sklepu.

Dziś, — ciągnął dalej pastor — na nas przyszła kolej mówić o wolności i Ojczyźnie: dlatego sądzę, że ta wojna skończy się nieszczęśliwie dla was. Wszystkie myślące istoty, od prostych studentów do profesorów teologii, staną przeciwko wam. Zdaje się wam, że macie za sobą Sasów, Bawarów, Badeńczyków, Hessów... Mylicie się: dzieci starych Niemiec wiedzą dobrze, iż największą zbrodnią i największą hańbą jest walczyć przeciw braciom. Królowie mogą sobie zawierać z wami przymierza, ale pomimo tych przymierzy, ludy zawsze będą przeciwko wam, będą broniły krwi swojej i swojej Ojczyzny: tego, co Bóg nakazuje nam kochać i czego nie możemy zdradzić bez występku. Wszystko wam spadnie na kark: Austriacy będą was mordowali, jak tylko będą mogli, pomimo małżeństwa cesarza waszego z Maryą Ludwiką; wszyscy już zaczynają pojmować, że interesa królów nie są wszystkim na świecie i największy geniusz nie może zmienić tego, co tkwi w naturze rzeczy.

Tak mówił tonem poważnym pastor; niebardzo dobrze wówczas jeszcze rozumiałem jego słowa i myślałem sobie:

— Słowa zawsze są słowami tylko, a strzały strzałami. Jeżeli bić się nam przyjdzie tylko ze studentami i z profesorami teologii, to wszystko dobrze pójdzie. A co do reszty, karność powstrzyma Hessów, Bawarów i Sasów od opuszczenia nas tak,

jak zmusza do walki nas Francuzów, chociaż nie jeden nie ma do tego ochoty. Czy żołnierz nie jest posłuszny kapralowi, a kapral sierżantowi i tak dalej aż do marszałka, który robi to, co król chce? Wiadać, że pastor nigdy nie służył w wojsku, bo wiedziałby, że myśli są niczem i że rozkaz jest wszystkim. Ale nie będę mu zaprzeczał, bo właściciel poczty nie przyniosłby butelki wina po wieczery. Niech sobie myśli, co mu się podoba; co do mnie, pragnę, ażebyśmy nie spotkali nikogo więcej, oprócz teologów.

Kiedy tak gawędziliśmy, nagle, 27 marca rano, przyszedł rozkaz wymarszu.

Batalion udał się na nocleg do Lauterbachu, a nazajutrz do New-Kirchen i odtąd szliśmy już ciągle, szliśmy nieustannie. Ci, którzy i wtenczas jeszcze nie przyzwyczaili się do noszenia tornistra, nie mogli się tłumaczyć brakiem wprawy; bo, dzięki Bogu, niemało zrobiliśmy drogi! Ja oddawna już przestałem się pocić mojami pięćdziesięciu nabojami w ładownicy, moim tornistrem i fuzyą na plecach; nie wiem nawet, czy kulałem jeszcze.

Nie sami tylko byliśmy w drodze. Wszystko szło, wszędzie spotykaliśmy maszerujące pułki, oddziały kawalerii, działa, jaszczyki z prochem i kulami — wszystko to dążyło do Erfurtu, jak po wielkiej ulewie tysiące strumyków wszystkimi drogami dąży do rzeki.

Sierżanci nasi mówili do siebie:

— Zbliżamy się... będzie gorąco!

My zaś myśleliśmy:

— Tem lepiej! Z powodu Prusaków i Rosyan wzięto nas: gdyby byli spokojnie siedzieli, mybyśmy pozostali we Francji!

Myśl ta goryczą nas przejmowała.

Ale wszędzie można spotkać ludzi, którzy lubią bić się: Klipfel i Zébédé mówili tylko o tem, jak się rzucą na Prusaków; nie chcąc pokazać się mniej odważnym niż oni, i ja także mówiłem, że mnie cieśzy nadzieja niedalekiej bitwy.

Dnia 8 kwietnia batalion wszedł do Erfurtu, miasta bardzo obronnego i bardzo bogatego.

Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy na placu, przed koszarami, kazano nam się rozejść, a wogmeister wręczył pakiet listów sierżantowi kompanii. Między listami był jeden do mnie. Natychmiast poznałem pismo Katarzyny, co takie wrażenie sprawiło na mnie, że nogi zachwiały się pode mną.

Zébédé wziął mój karabin, mówiąc:

— Chodź!

On także był rad, że będą wiadomości z Phalsburga.

Schowałem list do kieszeni; wszyscy nasi udali się za mną, chcąc słyszeć, jak go będę czytał. Ale ja chciałem na przód sięść na mojem łóżku spokojnie, zanim go otworzę; dopiero więc, gdy nas ulokowano na Finckmatt i gdy karabin mój stanął w kółkach, wziąłem się do czytania listu. Tamci wszyscy pochylili się nad memi plecami. Łzy spływały mi po

twarzy, bo Katarzyna opowiadała, jak się modli za mną.

Koledzy, usłyszawszy to, mówili:

— Jesteśmy pewni, że i za nas także się modlą!

Jeden mówił o swej matce, drugi o siostrach swoich, inny znowu o swej ukochanej...

Dopisał się pan Gulden. Zawiadamiał, że w mieście wszyscy są zdrowi, że powinienem nabrać otuchy, bo nieszczęścia niedługo potrważą. Zalecał mi szczególnie zawiadomić kolegów, że pamiętano o nich i że rodziny ich uskarżają się na brak od nich wiadomości.

List ten wielką nam wszystkim przyniósł pociechę.

Kiedy przypomnę sobie, że był dzień wówczas 8 kwietnia i że wkrótce miały nastąpić wielkie bitwy, uważam list ten jako ostatnie pożegnanie z kraju dla połowy naszych: nie mieli oni słyszeć już nigdy o rodzinach swych, o swoich przyjaciółach, o tych, których kochali.

XII.

Wszystko to, — jak mówił sierżant Piotr — było tylko wstępem do rzeczy i taniec dopiero się miał rozpocząć.

Tymczasem pełniliśmy służbę w cytadeli wraz z 27-ym batalionem i z wierzchołka szaniców widzieliśmy wszystkie dokoła okolice pokryte wojskami, z których jedne obozowały w polu, drugie zaś kwaterowały po wioskach.

Dnia 18-go, kiedy wracałem od bramy Warthau, gdzie trzymałem wartę, sierżant, który mnie polubił, rzekł:

— Strzelcze Berthe, cesarz przyjechał.

Nikt jeszcze nie słyszał o tem, więc zauważyłem:

— Z przeproszeniem, panie sierżancie, wychylił się właśnie po kieliszku z saperem Merlinem, który przeszłej nocy stał na warcie u drzwi jenerała i nie mi o tem nie mówił.

Na to on, mrugając oczami:

— Wszystko się rusza, wszystko drży w powietrzu... Ty tego nie rozumiesz jeszcze, ale ja ci powiadam, że *on* jest tam, czuję to przez skórę. Dopóki *jego* niema, wszystko się robi przez połowę; a teraz patrz tam, jak te sztafety pędzą po drodze, wszystko się ożywia. Zaczekaj do pierwszego tańca, zaczekaj, a przekonasz się: kaiserliki i kozacy nie potrzebują okularów, żeby zobaczyć, czy *on* jest między nami; oni czują to zaraz.

To mówiąc, sierżant śmiał się pod długimi wąsami.

Miałem przecucie, że może mnie spotkać wielkie nieszczęście, mimo to musiałem nadrabiać miną.

Sierżant nie mylił się.

Tegoż dnia, około godziny trzeciej po południu, wszystkie wojska, stojące w okolicach miasta, zaczęły się poruszać, a około godziny piątej, kazano nam stanąć pod bronią: marszałek księżę Moskwy wjeżdżał do miasta, otoczony całym tłumem oficerów i jenerałów, którzy tworzyli sztab jego. Zaraz potem jenerał Souham, mający sześć stóp wzrostu, siwy zupełnie, przybył do cytadeli i na placu odbył przegląd naszych szeregów. Głosem tak silnym, że wszyscy mogli go słyszeć rzekł do nas:

— Żołnierze! Będziecie należeli do przedniej straży 3-go korpusu; starajcie się pamiętać o tem, żeście Francúzami. Niech żyje cesarz!

Wszyscy powtórzyli: — Niech żyje cesarz! —
a okrzyk straszmem echem odbił się na placu.

Jenerał odjechał z pułkownikiem Papfelem.

Tegoż wieczora miejsce nasze zajęli Hessi, a my opuściliśmy Erfurt z 10-ym pułkiem huzarów i pułkiem strzelców badenckich. O siódmej czy ósmej godzinie rano, stanęliśmy przed miastem Weimarem i przy wschodzącym słońcu, ujrzelśmy ogrody, kościoły, domy i stary zamek na prawo.

W tem miejscu kazano nam rozłożyć się na noc, a huzarzy pojechali na zwiady do miasta. Koło godziny dziewiątej, kiedyśmy byli zajęci gotowaniem zupy, usłyszeliśmy nagle strzały; huzary nasi, spotkawszy na ulicach huzarów pruskich, strzelali i bili się z nimi. Ale było to tak daleko, że można powiedzieć, iż nie widzieliśmy nic z tej walki.

W godzinę potem huzary wrócili; stracili dwóch ludzi. Tak się rozpoczęła kampania.

Stanęliśmy pod Weimarem pięć dni, a przez ten czas cały 3-ci korpus nadciągnął. Ponieważ należeliśmy do przedniej straży, trzeba było przeto wyruszyć naprzód, w stronę Sulra i Warthau.

Wtedy ujrzelśmy nieprzyjaciela: kozaków. Cofali się oni zawsze po za odległość strzałów, a im bardziej oni się cofali, tem większej nabieraliśmy odwagi.

Gniewało mnie, że Zébédé mówił na to z miłą niezadowoloną:

— Czy nigdy się nie zatrzymają? Czy nigdy nie poznamy ich bliżej?

Ja zaś myślałem sobie:

— Cóż lepszego możemy sobie życzyć, nad to, że się cofają? Wygramy, nie poniósłszy żadnej szkody.

Nakoniec zatrzymali się po drugiej stronie rzeki, dosyć szerokiej i głębokiej w tem miejscu; zdawało mi się, że tłumy ich czekały tylko na to, żeby nas wymordować, skoro tylko, na nieszczęście nasze, przeprawimy się przez rzekę.

Było to 29 kwietnia.

Dzień miał się już ku schyłkowi; nie widziałem nigdy piękniej zachodzącego słońca. Po drugiej stronie rzeki, jak okiem sięgnąć, rozciągała się płaszczyna zielona, a na czerwonym tle nieba roili się jeźdźcy, w kaszkietach na czoło nasuniętych, w zielonych kurtkach, z małą ładownicą pod ramieniem i w jasno niebieskich spodniach; za nimi błyszczało mnóstwo lanc. Sierżant Pinto poznał, że to są rosyjscy strzelcy konni i kozacy. Poznał on także rzekę i powiedział nam, że się nazywa Saala.

Zbliżyliśmy się, o ile tylko można było, do rzeki, strzelając do jeźdźców rosyjskich, którzy cofnęli się dalej, a nawet znikli w blaskach czerwonego nieba. Rozłożyliśmy wówczas biwaki przy rzece i rozstawiliśmy warty. Po lewej stronie naszej była wielka wieś; wysłano do niej oddział po mięso za pieniądze, bo od przyjazdu cesarza wydany był rozkaz płacenia za wszystko.

W nocy, podczas gdy gotowaliśmy wieczerę, nadeszły inne pułki dywizyi; rozłożyli biwaki swoje

także wzdłuż rzeki; wspaniały był widok owych ognistych smug, drżących na fali wód.

Nikomu spać się nie chciało; Zébédé, Klipfel, Furst i ja siedzieliśmy przy jednym kocielku i patrząc na siebie, mówiliśmy:

— Gorąco będzie jutro, jeżeli przejdziemy rzekę! Ci, którzy piją sobie teraz piwo w Phalsburgu pod Dzikim Człowiekiem, nie domyślając się tego, że my siedzimy tutaj, nad brzegiem rzeki, jedząc nędzną krowinę i że będziemy spali na ziemi, zdobywając reumatyzm na starość; nie myślą też o ciosach szabli i strzałach, które spadną na nas może prędzej niż się spodziewamy.

— Ba! — wtrącił Klipfel — to przynajmniej nazywa się żyć. Co mi to za życie, wiecznie drzeć pod pierzyną i przepędzać dni jeden do drugiego podobne? Chcąc żyć prawdziwie, trzeba, żeby dzisiaj było dobrze, jutro źle; rozmaitość zajmuje, bawi i przyjemność sprawia. A co do strzałów, ciosów szabli i bagnetów, dzięki Bogu, tyle im się od nas dostanie, ile nam od nich.

— To prawda — potwierdził Zébédé, zapalając fajkę, — Co do mnie, spodziewam się, że jeżeli przełożę broń moją do lewej ręki, to nie dlatego, żem nie odplacił ciosów, jakie sam otrzymam.

Tak rozmawialiśmy już od dwóch czy trzech godzin. Léger położył się na swoim mundurze, zwróciwszy nogi w stronę ognia i spał smacznie. Naraz warta krzyknęła:

— Kto tam?

— Francya! — odpowiedziano.

— Jaki pułk?

— Szósty lekki.

Był to marszałek Ney i generał Brenier z oficerami pontonierów i z działami.

Marszałek odpowiedział „szósty lekki“, bo wiedział, gdzie jesteśmy: to nas ucieszyło, a nawet napełniło dumą. Widzieliśmy go przejeżdżającego na koniu z generałem Souhamem i pięciu czy sześciu wyższymi oficerami; pomimo nocy, poznaliśmy ich bardzo dobrze: niebo iskrzyło się od gwiazd, księżyc wschodził, było więc jasno, jak w dzień.

Zatrzymali się przy jednym z kolan rzeki, gdzie ustawiono sześć dział; zaraz potem nadeszli pontonierzy z długim szeregiem wozów, naładowanych dębowymi tarcicami, kołami i wszystkim, co było potrzebne do rzucenia dwóch mostów. Nasi huzarzy latali wzdłuż rzeki, gromadząc łodzie; kanonierzy stali przy działach, gotowi do zmiatania tych, którzyby chcieli przeszkadzać robocie.

Długo patrzyliśmy na posuwającą się pracę. Ze wszystkich stron rozlegały się okrzyki:

— Kto idzie? Kto idzie?

Były to nadciągające pułki trzeciego korpusu.

O świcie dopiero zasnąłem.

Klipfel dobrze mnie musiał tarmosić, zanim zdołał mnie obudzić. Ze wszystkich stron bębny były pobudkę; mosty były gotowe — mieliśmy przejść Saalę.

Wielka spadła rosa. Każdy śpiesznie czyścił swój karabin, związał płaszcz i przytracał go sprzączkami po nad tornistrem. Jeden drugiemu pomagał...

Stawano w szeregi. Mogła być wtedy godzina czwarta. Wszystko wydawało się szarem z powodu mgły, podnoszącej się nad rzeką. Dwa bataliony przechodziły już mosty, żołnierze jeden za drugim, oficerowie i sztandar pośrodku. Przemarsz ten wywoływał ponure odgłosy, dudnienia i huczenia. Potem przeprowadzono działa i jaszczyki.

Kapitan Florentin kazał nam właśnie podsyłać proch na panewki, kiedy przybyli generał Souham, generał Chemineau, pułkownik Zapfel i inni, oraz nasz komendant. Batalion ruszył z miejsca. Wciąż patrzyłem, czy nieprzyjaciel nie pędzi na nas galopem, ale nic się nie ruszało.

W miarę przedostawania się na brzeg przeciwny, każdy pułk tworzył czworobok, z bronią u nogi. Około godziny piątej, cała dywizja była już po tamtej stronie. Mgła cofała się przed słońcem: o trzy ćwierci mili, widzieliśmy po prawej stronie stare jakieś miasto, śpiczaste jego dachy, dzwonicę w kształcie kuli, pokrytą łupkiem, z krzyżem na szczycie, a dalej, po za miastem, zamek. Był to Weisensfels.

Między nami a miastem, ciągnęła się duża przestrzeń głęboko zapadła. Marszałek Ney, który właśnie nadszedł, chciał się dowiedzieć, co się w tem zagłębieniu znajduje. Dwie kompanie 27-go pułku

rozsypały się przed kolumną wojska w tyralierkę, a czworoboki ruszyły zwykłym krokiem: oficerowie, sapersy, trębacze po środku, działa między czworobokami, a jaszczyki za ostatnim szeregiem.

Zagłębienie wszystkim wydawało się podejrzaniem tembardziej, że dnia poprzedzającego widzieliśmy nad rzeką masę kawalerii, która nie mogła przecież cofnąć się aż na kraniec wielkiej płaszczyny, dokoła otwartej przed nami. Było to niepodobieństwem. Zastanawiając się nad tem, czułem obawę i oczekiwałem jakiejś niespodzianki. A jednak, widząc wojsko nasze, maszerujące w największym porządku, z bronią nabitą, ze sztandarem na czele, z generałami z tyłu, pełnymi ufności, — widząc nas tak idących bez pośpiechu, równo, całą masą stąpających miarowo, nabrałem otuchy. Mówiłem sobie:

— Może, zobaczywszy nas, uciekną: to byłoby najlepiej i dla nich i dla nas.

Byłem w drugim szeregu, a Zébédé w pierwszym; można sobie wyobrazić, jak wytrzeszczałem oczy. Od czasu do czasu spoglądałem z boku na drugi czworobok, który się posuwał tuż, po tej samej linii i w środku jego widziałem marszałka ze sztabem. Wszyscy podnosili głowy, z wielkimi swymi kapeluszeniami na bakier, usiłując ogarnąć wzrokiem jak najrozleglejszą przestrzeń.

Tyralierzy dotarli wreszcie do parowu, osłoniętego krzakami. Już na kilka chwil przedtem spostrzegłem dalej, po drugiej stronie, że się coś rusza

i błyszczą, niby kłosa poruszane wiatrem, wśród promieni słońca; przyszło mi na myśl, że mogą to być Rosyanie, ze swemi lancami i szablami; było to jednak przypuszczenie tylko. Gdy wszakże nasi tyralierzy zbliżyli się do krzaków i kiedy w kilku punktach rozpoczęła się strzelanina, zobaczyłem wyraźnie, że owe błyski pochodziły od ostrzy lanc. Niebawem zagrzmiąły działa. Rosyanie mieli armaty. Wystrzelili do nas i jednocześnie usłyszałem jakiś szmer; odwróciwszy głowę ujrzałem, że w szeregach, na lewo, zrobiła się próżnia.

W tej chwili pułkownik Zapfel zakomenderował spokojnie:

— Ściśnijcie szeregi!

A kapitan Florentin powtórzył:

— Ściśnijcie szeregi!

Wszystko to stało się tak szybko, że nie miałem czasu na rozmyślanie. O pięćdziesiąt kroków znów coś błysnęło, znów powstał podobny szmer w szeregach, — jak gdyby potężne dmuchnięcie — i ujrzałem znów lukę, teraz już po prawej stronie.

Ponieważ za każdym strzałem dział rosyjskich, pułkownik powtarzał: — Ściśnijcie szeregi! — zrozumiałem, że za każdym razem robiła się w szeregach próżnia. To mnie bardzo stropiło, ale trzeba było wciąż iść naprzód.

Nie śmiałem myśleć o zniszczeniu, dokonywanem przez działa nieprzyjacielskie w naszych szeregach, starałem się odwrócić od tego moją uwagę.

Naraz generał Chemineau wszedł do naszego czworoboku i zawołał straszonym głosem:

— Stój!

Wtenczas spojrzałem przed siebie i spostrzegłem całe masy Rosyan, zbliżające się ku nam.

— Pierwszy szereg klękni... złożyć bagnety! — komenderował generał. — Przygotuj broń!

Ponieważ Zébédé przykłął, ja zatem znalazłem się niejako w pierwszym rzędzie. Zdaje mi się, że widzę jeszcze posuwającą się w jednej linii całą tę masę koni i Rosyan, pochylonych naprzód, z szablą w rękę, i że słyszę generała, spokojnie komenderującego za nami, jak na mustrach:

— Baczność, na komendę ognia... Cel... pa!

Strzeliliśmy ze wszystkich czworoboków naraz: można było pomyśleć, że niebo runęło na ziemię.

Zaledwie dym rozszedł się trochę, ujrzeliśmy Rosyan, umykających galopem; ale teraz nasze działa grzmiąły, kule zaś pędziły prędzej, niż ich konie.

— Nabijaj! — krzyknął generał.

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek w życiu doznał takiej uciechy.

— Patrzcie, patrzcie, uchodzą!... — myślałem sobie.

Naraz ze wszystkich stron rozległ się potężny okrzyk:

— Niech żyje cesarz!

Uradowany zacząłem krzyczeć wraz z innymi. Trwało to z minutę.

Czworoboki znów ruszyły, zdawało się, że wszystko się już skończyło; ale o dwieście lub trzyście kroków od parowu, wszczął się wielki hałas i generał po raz drugi zakomenderował:

— Stój!... klękaj, składaj bagnety!

Rosyanie wypadali z parowu i jak wiatr pędzili na nas. Pędzili wszyscy razem: ziemia drżała pod kopytami ich koni. Nie słyhać już było komendy, ale zdrowy rozsądek żołnierzy francuskich mówił nam, że należy strzelać w kupę i ogień szeregowy toczył się, jak huk bębnow w czasie wielkich przeglądów.

Ci, co sami nie słyszeli czegoś podobnego, nie potrafili sobie wyobrazić, jak to się odbywa. Niektórzy z Rosyan docierali aż do nas; ukazywali się wśród dymu i nagle gdzieś znikali.

Przez czas niejaki wciąż nabijano i strzelano. Wreszcie straszny głos generała Chemineau zagrzmiął znów:

— Dość ognia!

Trudno było wstrzymać rozmach zapału; każdy pragnął choć raz jeszcze wystrzelić. Kiedy jednak dym się rozszedł, ujrzeliśmy, że cała masa kawalerii nieprzyjacielskiej pędzi na drugą stronę parowu.

Natychmiast rozwinięto czworoboki i ruszono kolumną. Bębny biły, działa nasze grzmiąły.

— Naprzód!... Naprzód!... Niech żyje cesarz!...

Spuściliśmy się do parowu po stosach koni i Rosyan, którzy ruszali się jeszcze na ziemi, i przyspieszonym krokiem dążyliśmy w stronę Weissenfelsu. Kozacy i strzelcy, z ładownicą na plecach i z pochylonym grzbietem, pędzili przed nami, o ile im sił starczyło: bitwa była wygrana!

Ale w chwili, kiedyśmy się zbliżali do ogrodów miasta, działa, które uprowadzili z sobą, zatrzymały się po za rodzajem szańca i wysłały do nas kule, z których jedna strzaskała siekiere saperera Merlina, a jemu samemu urwała głowę. Odłam topora strzaskał prawe ramię kaprała saperów, tak, że trzeba mu było odciąć je wieczorem w Weissenfels. Wtenczas puściliśmy się pędem, bo im prędzej się dobiegnie, tem mniej czasu mają tamci do strzelania: każdy to dobrze rozumiał.

Wpadliśmy do miasta z trzech stron, przeskakując przez płoty, mury, przedzierając się przez ogrody i tyki od chmielu. Marszałek i generałowie pędzili za nami. Nasz pułk wszedł aleją, wysadzoną topolami, a ciągnącą się wzdłuż cmentarza; kiedyśmy wchodzili na plac, druga kolumna zdążyła wielką ulicą.

Tu zatrzymaliśmy się i marszałek, nie tracąc ani minuty, wysłał 27-my pułk dla zajęcia mostu i przecięcia odwrotu nieprzyjacielowi. Tymczasem reszta dywizji nadciągnęła i uszykowała się na placu. Burmistrz i radcy Weissenfelsu czekali już u bramy ratusza, aby nas powitać.

Gdy się wszystko uspokoiło, marszałek Ney,

książę Moskwy, przejechał przed naszym frontem i przemówił do nas wesoło:

— Dobrze... bardzo dobrze! Jestem z was zadowolony! Cesarz się dowie o waszem dzielnym zachowaniu się... Dobrze... bardzo dobrze!

Nie mógł się wstrzymać od śmiechu, żeśmy z takim zapałem biegli na działa.

A kiedy generał Couham rzekł do niego:

— I cóż? Trzymali się?

On odparł:

— Tak, tak, trzymali się... To już we krwi! To we krwi!

Ja zaś cieszyłem się, że nic nie oberwał w tej potyczce.

Batalion pozostał w Weissenfels aż do dnia następnego. Rozkwaterowano nas u mieszczan, którzy bojąc się nas, dawali nam wszystko, czegośmy zażądali. 27-my pułk wrócił wieczorem i został umieszczony w starym zamku.

Byliśmy bardzo pomęczeni.

Wypaliwszy dwie czy trzy fajki, rozmawiając o naszej sławie, Zébédé, Klipfel i ja poszliśmy do warstata stolarza, położyliśmy się na kupie wiorów, gdzie pozostaliśmy aż do północy. Wtedy uderzono pobudkę. Chcąc nie chcąc, trzeba wstać. Stolarz dał nam wódki i wyszliśmy. Deszcz lał, jak z cebra.

Tejże nocy batalion udał się biwakować pod wsią Clépeu, o dwie godziny drogi od Weissenfels.

Niebardzo byliśmy z tego zadowoleni, gdyż deszcz wciąż trwał ulewny.

Kilka innych oddziałów przyłączyło się do nas. Cesarz przybył do Weissenfels i cały 3-ci korpus miał udać się za nami. Przez cały dzień o tem tylko mówiono; niektórzy cieszyli się z tego. Ale na zajutrz, około godziny piątej rano, batalion wyruszył w przedniej straży.

Naprzeciw nas płynęła rzeka Rippach. Zamiast zbroczyć do mostu, przebyliśmy ją brodem. Mieliśmy wody po brzuchy. Wyciągając trzewiki moje z mułu, myślałem sobie:

— Gdyby kto powiedział ci o tem wówczas, kiedyś się bał dostać kataru u pana Gulden i kiedy zmieniałeś pończochy dwa razy na tydzień, nie chciałbyś temu wierzyć! Straszne to jednak rzeczy trafiają się w życiu!

Idąc po drugiej stronie rzeki z jej biegiem, między trzciną, ujrzeliśmy na wzgórzach, na lewo, oddział kozaków, obserwujących nas. Posuwali się za nami powoli, nie śmiąc uderzyć na nas; przekonałem się wówczas, że muł może się przecież przydać na coś.

Tak szliśmy więcej godziny.

Słońce już się podniosło wysoko, gdy nagle usłyszeliśmy gwałtowny ogień z ręcznej broni i huk dział za nami, w stronie Clépeu. Komendant nasz, siedząc na koniu, odwrócił głowę i obserwował tamtą stronę przez wierzchołki trzcin.

Trwało to długo; sierżant Pinto zauważył:

— Uderzono na posuwającą się dywizję naszą....

Kozacy patrzyli także w stronę walki i dopiero w godzinę potem znikli. Ujrzelśmy wówczas na płaszczyźnie, na prawo, dywizję, która posuwała się w kolumnach i pędziła przed sobą masy kawalerii nieprzyjacielskiej.

— Naprzód! — krzyknął komendant.

Pobiegliśmy, sami nie wiedząc dlaczego, zawsze z biegiem rzeki.

Niebawem przybyliśmy do starego mostu, gdzie Rippach i Gruna łączyły się z sobą. Mielśmy zastrzymać tutaj nieprzyjaciela, ale kozacy odkryli już nasz wybieg: całe wojsko rosyjskie cofnęło się za Grunę i przebyło ją w bród. Kiedy dywizya połączyła się z nami, dowiedzieliśmy się, że marszałek Bessières został zabity kulą działową.

Od tego mostu poszliśmy biwakować pod wioską Gorschen. Krażyły pogłoski, że zbliżała się wielka bitwa i że wszystko, co dotąd zaszło, było tylko małym początkiem dla wypróbowania, jak też rekruci będą wytrzymywali ogień. Z tego można sobie wyobrazić, jakie myśli musiały przychodzić do głowy człowiekowi rozsądnemu, który wbrew własnej woli, znalazł się tam, między ludźmi tak lekkomyślnymi, jak Furst, Zébédé i Klipfel, którzy się cieszyli nadzieją rychłej bitwy, jak gdyby pod-

odne rzeczy mogły im przynieść coś więcej nad ciosy szabli, karabina lub bagneta.

Resztę dnia tego a nawet część nocy, myśląc o Katarzynie, modliłem się do Boga, by mi zachował życie i ochronił ręce, potrzebne wszystkim ubogim, do zapracowania na życie.

KONIEC TOMU I-go.